№ 31. Warszawa, dnia 23 Lipca (4 Sierpnia) 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Na zburzenie Jerozolimy przez Tytusa.

(Z LORDA BAJRONA).

Z pagórka, gdzie pielgrzymi wychodząc z Syonu
Żegnają go — rzuciłem na gród swój spojrzenie,
Płomień go żarł, a dzika tłuszcza legionu
Roznosiła dokoła śmierć i spustoszenie.

Patrzałem, gdzie nasz kościół, gdzie mój dom kochany,
A widziałem li ognia rozhukane morze;
Spojrzałem na swe ręce — już na nich kajdany...
Zguba, zguba! a zemsty nie ma Twej o Boże!

Kiedyś podziwiać miasto szedłem na te wzgórze,
Gdy dzień gasnął — ach! dzisiaj płomień je otoczył,
A tylko kościół błyszczy w czarnej dymu chmurze...
Zresztą we mgle, w płomieniach już nicem nie zoczył.

Takem był tu i znowu w tej ostatniej chwili,
Lecz nie bawił mię zachód słońca uroczysty;
Czekałem, aż Jehowa w gniewie się wysili
I pośle mścić nas burzę i grom swój ognisty.

Ale nie! w Twej świątyni gdzieś królował Panie,
Poganie swym bożyszczom ofiar nie uczynią;
Choć Twój kościół widomy runął i nie wstanie,
Lecz serca Twego ludu będą Ci świątynią.

Autor pamiątek z Litwy.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Nie Klementyno, ja żadnej z miłości podobnych dla życia mego nie chcę, ja myślę że bluźnią one przeciwko imieniowi które nie wiem dla czego noszą, ja dla nich nic, żadnego innego uczucia mieć nie mogę, prócz przebaczenia i pobłażliwości. Zresztą, przypuszczam że dla organizacyi pewnych, życie pozbawione słodyczy i upojeń miłości kompletnem być nie może, ale istniejąż na świecie życia i szęścia ludzkie kompletne? Przy dzisiejszym przynajmniej ustroju ludzkości, nie sąż one niesprawdzalnemi snami i gdy okoliczności składają się stosownie, nie lepiejże wyrzec się stanowczo jednego z żywiołów istnienia, niż goniąc za nim tracić podstawowe jego warunki?

Że życie najlepiej urządzone i wypełnione posiadać musi troski swe i smutki, najlepszy mam dowód tego na sobie. Przez ostatnie parę tygodni jestem ciągle niespokojną i zmartwioną. Młodsze dzieciaki moje z jesienią znowu chorować zaczęły a i Natalka także nie wzrasta tak silnie i zdrowo jakbym tego pragnęła. Następstwa to fatalnego sposobu hodowania któremu dzieci te podlegały w pierwszych latach swego życia. Nigdy nie zapomnę chwili w której zobaczyłam je po raz pierwszy. Przybyliśmy z Michałem niewiele przed południem.

— Gdzie są dzieci? zaraz w progu zapytał mąż mój.

— Śpią jeszcze, odpowiedziała Klotylda która wyszła na nasze spotkanie.

Pobiegłam do wskazanego mi pokoju. Z powodu zapuszczonych ciężkich rolet zmrok tam panował głęboki i dopiero gdy odsłoniłam jedną z zasłon, zobaczyłam stojące w pokoju dwa małe łóżka i jedną kolebkę.

Światło i głosy nasze obudziły dzieci. Na jednem z łóżek podniosła się i usiadła ośmioletnia dziewczynka, z drugiego wychylił rozczochraną główkę pięcioletni chłopczyk, w kolebce zabełkotało niewyraźnie dwuletnie dziecię. Nie upłynęło półgodziny gdy byłam już dobrze zaznajomioną z całem towarzystwem. Siedziałam na kanapce i rozmawiając ze starszemi dziećmi, młodsze trzymałam na kolanach. Nauczyłam je wymawiać wyraz: matko, którego wymawiania już się były oduczyły. Mówiąc i śmiejąc się z nimi przypatrywałam się im uważnie. Okryte cienką i zdobną w hafty bieliznę, miały one przecież pozór nędzarza. Oczy ich były zapadłe, cera bladą, wzrosty sztucznie wstrzymane, rączęta chude i przezroczyste.

Zapytasz może Klemensiu, co czyniła Klotylda siostra Michała, i dla czego dojrzeć nie mogła sposobu życia dzieci swego brata, sierot bez matki budzących współczucia w każdem dobrem sercu niewieściem? Cóż? kochała ona albo kochać pragnęła. I potem nawet gdy pilnie zajęłam się zaprowadzaniem reform w sposobie życia i prowadzenia dzieci, kiedy też jednocześnie zaznajamiałam się z gospodarstwem domowem, z licznymi domownikami i potrzebami ich, Klotylda przerywała mi wciąż te zajęcia, spotykając mię tu i owdzie, ujmując ręce moje w białe swe, miękkie jak puch dłonie i zapytując:

— Powiedz mi Marciu, czy ty jego bardzo, bardzo kochasz? Stosowało się to naturalnie do Michała.

Zrazu odpowiedziałam jej z przejęciem się i powagą że kocham Michała najlepszemi uczuciami serca ludzkiego: szacunkiem, przyjaźnią, ufnością

i wdzięcznością. Ale Klotylda wstrząsnęła głową niespokojnie jakoś i niechętnie.

— Szacunek widzisz, rzekła, przyjaźń, ufność i wdzięczność, to nie miłość. Czy ty go kochasz Maryo?

I o szarej godzinie kiedy otoczona dziećmi sennemi od świeżego powietrza do silnych powiewów którego nie przywykły, usiadłam przed ogniem, jedwabna suknia zaszeleściła przy mnie i łzawy, przewlekły głos zapytał mię znowu rozrzewnionym szeptem.

— Powiedz mi Maryo, czy ty go bardzo kochasz?

Powtarzało się to w nieskończoność. Raz nakoniec zaśmiałam się i odpowiedziałam Klotyldzie słowami Maryi z poematu.

— „Czy Marya Ciebie kocha? mój drogi, mój miły!

Więcej niż kochać wolno, niż pozwolą siły.“

Rumieniec gniewu oblał twarz Klotyldy.

— Żartujesz sobie z miłości, Maryo, rzekła i oddaliła się zwolna. Ale odtąd stanowczo uznanem zostało w umyśle Klotyldy że jestem zimną, poziomą kobietą nie rozumiejącą miłości a nawet wśród znajomych i przyjaciółek jej powstało przekonanie że wyszłam za Michała dla interesu. Niech mówią co chcą. Opinia świata o tyle obchodzićby mię mogła o ile w głosie jej usłyszałabym powtórzenie głosu własnego sumienia.

Z tem wszystkiem, pierwsze lata przeżyte w zaniedbaniu, pozostawiły w dzieciach naszych nie jeden groźny zaród i pod fizycznym i pod moralnym nawet względem. Rzecz dziwna jednak! przy umiejętnych staraniach, szkody moralne usuwają się łatwiej i prędzej niż fizyczne. Czyniłam przeciw temu wszystko co mogłam. Wielu jednak rzeczom zapewne zaradzać nie umiałam. Na nieszczęście, domowy lekarz nasz któregośmy dotąd mieli, był człowiekiem uczciwym ale słabej głowy i rutynistą. Teraz na jego właśnie miejsce przybył Adam Strosz, hygienista ten o którym wiesz? od niejakiego czasu tak wiele piszą i mówią. Wielki wypadek dla naszego miasta które zajmuje się żywo nowo przybyłym. Szczęśliwy wypadek dla mnie a szczególniej dla mojej dziatwy. Opowiadają o nim różne rzeczy, że dzikim jest, że towarzystw unika, że jakieś kosztowne a wedle zdania opowiadających, niepotrzebne reformy w mieście chce zaprowadzać. Ja jednak, mając małe stosuneczki swoje z najuboższemi dzielnicami miasta, wiem o tym dzikim człowieku różne bardzo ucywilizowane rzeczy...

Najważniejszą jednak dla mnie rzeczą jest to, że jest on znakomitym lekarzem-hygienistą i że udzielić mi może wielu rad i wskazówek o których ani się śniło własnej mojej głowie. W tych dniach napiszę do niego aby nas odwiedził.

Całuję cię serdecznie Klemensiu i listu twego niecierpliwie oczekuję.

Marya.

LIST VI.

Adam do Jerzego.

Ongród, 1 Listopada.

Podziwiaj nieprzeniknione wyroki trafu, mój Jerzy i moją wielką łoskawość, że wykradam sobie chwilę czasu ażeby cię o nich uwiadomić! W kamienicy wznoszącej się naprzeciw mieszkania mego, za wązką ulicą i sporym ogrodem, mieszkają państwo Iwiccy.

Byłbym sto lat przeżył na tem miejscu nie domyślając się nawet z kim o paręset kroków sąsiaduję, gdyby... Tu, zawieszam na kilku kropkach twoją ciekawość. Chciałbym bardzo być w tej chwili w twojej powieściopisarskiej głowie i widzieć romantyczne przypuszczenia które w niej roić się zaczynają. Niestety, mój Jerzy, świat jest prozaiczny; niepodobna aby jedno życie ludzkie zawarło w sobie aż dwa spotkania poetyczne. Oto potrzebowałem lokalu dla posiedzeń Towarzystwa lekarskiego, które eureka! przebyło już stan pomysłu i wchodzić zaczyna w fazę spełnionego faktu. Chciałem aby posiedzenia towarzystwa odbywały się w bliskości mego mieszkania i od kilku dni przypatrywałem się niewielkiemu drewnianemu domowi, który stojąc bokiem do ogrodu leżącego u stóp kamienicy, zdawał mi się być rodzajem jej oficyny. Widziałem że dom ten od niedawnego czasu był niezamieszkanym. Przechodząc raz mimo zapytałem: czy jest on do najęcia i do kogo należy? Na pierwsze pytanie otrzymałem odpowiedź twierdzącą, na drugie powiedziano mi że dom i kamienica za ogrodem należą do pana Iwickiego, który sam tylko osobiście rozstrzygnąć mógł kwestyą najmu a którego znaleźć mogłem w kamienicy gdzie z rodziną swą mieszka.

Nazajutrz około południa, wizytując moich chorych, kazałem zatrzymać konie przed bramą szeroko otwierającą się na wielkie brukowane podwórze, położone przy ulicy innej niż ogród a równolegle z tamtą idącej. Od strony podwórza kamienica wygląda wcale inaczej jak od strony ogrodu. Znać tu prozę żywota nadzwyczaj ożywioną i ruchliwą. Okna dolnego piętra wielkie i nagie uzbrojone są z wewnątrz żelaznemi kratami, jak bywa zwykle w miejscach gdzie przechowują się ważne papiery albo znaczne pieniądze. Dokoła podwórza wznoszą się budowy murowane, wyglądające na składy i śpichrze. Przed jedną z nich stało wiele wozów dwukonnych i uwijało się mnóstwo ludzi. Przez rozwarte wrota widziałem że wewnątrz budowy ważono na potężnych szalach pękate wory, które potem ładowano na wozy. Musiał to być zapewne towar jakiś mający być dostawionym dnia tego na stacyę kolei albo nad brzeg rzeki.

Zbliżyłem się do gromady pracujących ludzi i zapytałem o pana Iwickiego. Na głos mój od szal które wewnątrz budowy kołysały się z ciężkością; odszedł niskiego wzrostu, kwadratowej postaci i o dużej głowie człowiek i przedstawił mi się jako Michał Iwicki. Odzienie jego było grube i opylone, na twarzy panował wyraz pośpiechu i pewnej niecierpliwości, które go nabawiało oderwanie się od zajęcia. Powiedziałem mu wzajemnie kim jestem i dodałem że nie chcąc mu przeszkadzać w tej chwili, zjawię się kiedykolwiek później. Bardzo grzecznie choć trochę bez ceremonii zatrzymał mię chwytając moją rękę i wołając na jakiegoś Roberta czy Ryszarda aby go przy wadze zboża czy mąki zastąpił. Poczem wprowadził mię do obszernej sieni znajdującej się na dolnem piętrze kamienicy a wiodącej do kancelaryi czy biura złożonego z dwóch sal obszernych, trochę zaciemnionych kratami u okien i w których kilkunastu mężczyzn różnego wieku siedziało nad stołami pilnie pisząc i rachując. Iwicki wprowadził mię do małego pokoju z wielkiem biórem i wielką szafą ogniotrwałą; jest to zapewne jego gabinet i wskazał mi miejsce na twardej ławie przykrytej dywanem. Rozmówiliśmy się o interesie prędko i zgodnie a jakkolwiek zajmował mię trochę i człowiek z którym rozmawiałem i zaciekawiało bardziej jeszcze czynne i czyste jego gospodarstwo, nie chcąc przeszkadzać mu w zajęciu pożegnałem go rychło. Nie zatrzymywał mię wcale. Budynek z szalami wozy z worami pociągały widocznie oczy jego i serce. Twarz ma on szczerą i bystrą ale grubą i źle narysowaną, ruchy jego żywe są, szorstkie i dość niezgrabne. uścisk ręki silny i sympatyczny. Patrząc na niego rozumiałem że mógł drzemać albo zajmować się swą notatkową książką w czasie seraficznych śpiewów pięknej swej narzeczonej i o Szyllerze zapytywać: kim jest ten jegomość?

Przechodząc z powrotem przez wielką sklepioną sień słyszałem kędyś w górze nad wschodami czy na wschodach dziecinne śmiechy i rozmowy. Podobne to było trochę do świergotu młodego ptactwa w gnieździe. Byłem już na progu kiedy nad świegotem tym uniósł się głos kobiecy wywołujący po razy kilka różne spieszczone imiona, do świegocących ptasząt pewno należące. Głos to był donośny, czysty i czuć w nim było uśmiech. Jakieś dalekie wspomnienie przyleciało do mnie z tym głosem. Słyszałem go, a raczej, słuchałem go był niegdyś w chacie chorej wieśniaczki i w lecie nad Niemnem...

Zapytasz mię pewno, mój Jerzy, dla czego nieskorzystałem z nadarzającej się sposobności i nie odnowiłem stosunków z tak miłą osobą jaką jest niezawodnie pani Iwicka. Henryk uczyniłby to jednym skokiem, ty może dwoma albo trzema. Zemnie dziki trochę człowiek. Nie przywykłem do towarzystwa pięknych i miłych pań i poco mi ono? Zdaje mi się że oprócz hygienicznych reform które tu mam wprowadzać, chorych moich i przyszłego Towarzystwa lekarskiego w mieście Ongrodzie, nic na świecie mię nie zajmuje.

A jednak człowiek bywa czasem dziwnem stworzeniem. Spoczywają w nim jakieś utajone, spodnie warstwy wrażeń i marzeń, o istnieniu których, przy zwyczajnym biegu życia, nic wcale on nie wie.

Składową jest natura człowieka i któż dowie się kiedy, kto się domyśli jakie tęsknoty i żądze podnosić się mogą nagle w piersi człowieka długo zakutej w stal panowania nad sobą? jakie miękkie i czyste szmery przelatują czasem pośród milczących ścian surowej pustelni, jakie twarze białe i słodkie zwieszają się nad głową samotnika gdy zamyka on do snu zmęczone pracą powieki?

Bądź zdrów, mój drogi przyjacielu!

Adam.

LIST VII.

Jerzy do Adama.

Warszawa, d. 20 Listopada.

Mój kochany Adamie. Jestem pewny że lada dzień, traf czy potrzeba sprowadzą odnowienie znajomości twej z panią Iwicką. Zlituj się, miej wzgląd na moją powieściopisarską głowę, chciwą zawsze zajmujących portretów ludzkich i opisz mi tę kobietę wraz z otoczeniem jej szczegółowo. Wiem że stać się to nie może inaczej jak z ofiarą twego czasu który teraz więcej niż kiedy cennym ci być musi. Ależ ręka rękę myje, mój Adamie. Ja także nie jestem ptaszęciem nie siejącem ani orzącem, jednak przyrzekam spełniać jak zwykle w stolicy wszystkie twe wydawnicze i książkowe polecenia, bylebyś zaspokoił moją ciekawość i podał fantazyi mojej ładny jaki wątek.

Czekam listu twego.

Adam.

LIST VIII.

Adam do Jerzego.

Ongród, d. 25 Listopada.

Dla czegóż, mój Jerzy, nie miałbym opisać ci tego co jest pięknem i rozweselającem życie? Widoków takich zbyt mało jest na świecie abyśmy mieli zamykać na nie oczy własne i przyjaciół naszych. Czas mam zajęty bardzo, to prawda, ale każdemu wolno mieć chwilę spoczynku a dla mnie pisanie do ciebie, jest najprzyjemniejszym ze sposobów odpoczywania.

Trzy dni temu otrzymałem od pani Iwickiej list wzywający mię abym dom jej odwiedził. Nazajutrz więc zatrzymałem znowu powóz mój przed szeroką bramą ruchliwego podwórza i tym razem przebywszy sklepioną sień wstąpiłem na górne piętro kamienicy. Przedpokój był otwarty i pusty. Do mieszczańskiego mieszkania tego etykieta światowa mało ma snać przystępu. Nie strzegą go anonsujący gościa lokaje.

Nie potrzebowałem zresztą zapytywać nikogo czy państwo są w domu, gdyż z wnętrza mieszkania dochodziły mię zmieszane głosy i rozmowy. Wszedłem tedy naprzód do sali jadalnej widnej i obszernej a tu od progu już, w ramie drzwi rozwartych przedstawił mi się rodzajowy obraz który, upewniam cię, mógłby rozweselić humor najzgryźliwszego pod słońcem hipokondryka.

Zamiast jednego z tych bawialnych pokojów, które znadują się zazwyczaj za jadalnemi salami, zobaczyłem olbrzymi bukiet. Musiał on być olbrzymim, gdyż czarą czy koszem który go zawierał nie było nic innego, tylko wielki, wysoki pokój. Nigdzie może prócz chyba w cieplarniach, nie widziałem o tej porze roku tak wielkiego nagromadzenia roślin. Było ich pełno wszędzie, na oknach, na sprzętach, dokoła ścian, w wielkich koszach ustawionych tu i owdzie bez ładu. W dodatku nietylko zieleniły się one, ale i kwitły wszystkiemi kolorami tego świata. Pośrodku bukietu tego stał stół okrągły piętrzący się mnóstwem najrozmaitszych przedmiotów, przy stole siedział Iwicki z obu łokciami opartemi o stół i brodą schowaną w dłoniach, po obu zaś stronach tego ojca rodziny, stało i siedziało troje dzieci w różnych postawach Cherubinów z obrazów. Głównym jednak punktem całego widoku była kobieta wchodząca do pokoju przeciwległemi drzwiami, w chwili właśnie gdym ja przestępował próg sali jadalnej. Nie wiem jak się nazywa ubranie to które posiada widoczną predylekcyą pani Iwickiej. Wiem tylko że barwa jego jest pąsową, że okrywa ono kibić jej tylko do połowy i że gdy zjawiła się w pokoju podobnym do bukietu, wyglądała w nim jak kwiat z najgoretszą ze wszystkich barwą. Nie postąpiła ku stołowi przy którym zgromadzoną była jej rodzina. tylko stanęła u samego progu i podniosła wysoko rękę u której kołysał się kosz przepełniony ciężkiemi gronami winnych jagód. Wejście jej spostrzegł naprzód najmłodszy malec i dał hasło do ataku. Za nim poskoczyło dwoje starszych, trzy pary drobnych rąk wyciągnęło się ku podniesionemu w górę koszowi i trzy gamy śmiechu rozległy się po mieszkaniu. Ona sama nie śmiała się tylko z wejrzeniem spuszczonem ku dzieciom uśmiechała się. Iwicki zato zawtórował grubym i donośnym basem, dyszkantowym głosom dzieci.

Nagle, wiesz co się stało, Jerzy? Pani Iwicka podniosła spojrzenie, zobaczyła mię, opuściła w dół rękę z koszem i krzyknęła. Nie umiem zdać sprawy sobie ni tobie co było powodem tego wykrzyku. Najprawdopodobniej wywołało go zdziwienie. Co pewna to że poznała mię od jednego wejrzenia i że twarz jej stała się na mgnienie oka tak szkarłatną, jak jej ubranie.

Iwicki idąc za kierunkiem wzroku żony, głowę odwrócił, zobaczył mię i z miejsca poskoczył.

— Marciu! zawołał chwytając moją rękę i wstrząsając nią według zwyczaju swego, Marciu! powtórzył z większym jeszcze wybuchem głosu, oto pan Adam Strosz który jest tak łaskaw, że...

Nie dokończył bo zdziwić się musiał. Pani Iwicka szła na spotkanie moje krokiem przyśpieszonym nieco, podawała mi rękę na powitanie i mówiła:

— Witam pana, po długiem niewidzeniu!

— Jakto Marciu, zawołał Iwicki, znałaś pana Strosza i nic mi o tem nie mówiłaś?

— Owszem, mówiłam; odpowiedziała z uśmiechem, niewiem zresztą czy można to nazwać znajomością, co pewna tylko żeśmy się z panem raz w życiu spotkali.

— W chacie chorej Praksedy... wtrąciłem.

Iwicki uderzył się w czoło.

— A! zawołał i kilka sekund milczał.

— Tak, tak! dokończył, mówiła mi Marcia o tem.. mówiła... Co ona takiego mówić mogła o naszem dawnem spotkaniu że przy wspomnieniu o tem siwe oczy jego zamigotały żywo i spuściły się ku ziemi. Zwyczajnie, ma on wzrok bystry lecz spokojny i prosto przed się patrzący.

— Nie wiedziałaś więc Marciu, rzekł, że pan Strosz jest twoim dawnym znajomym?

— Nie wiedziałam, odpowiedziała i stała przez chwilę milcząc, i patrząc na mnie. Ja także zdobyć się nie mogłem na pierwsze słowo. Przyznam się że doświadczałem jakiegoś całkiem mi niezwykłego uczucia o którem nie mógłbym napewno powiedzieć czy było radością czy smutkiem. Rozgniewało mię mazgajstwo to którego cierpieć nie mogę i z pewną przykrością zmusiłem siebie do zwykłej swej roli. Bo naprawdę pomimo niewyraźnego wspomnienia które łączyło mię z gospodynią domu tego, wszak byłem tu zupełnie obcym.

— Czy w domu państwa jest ktoś cierpiący, komu użytecznym być mogę? zapytałem. Przez chwilę jeszcze nie otrzymywałem odpowiedzi. Iwicki patrzał na mnie z taką uwagą jak gdyby mię widział pierwszy raz w życiu. Żona jego spuściła powieki i milczała, zdaje mi się że szybkie przystąpienie moje do interesu sprawiło jej pewną przykrość.

Właściwie, odpowiedziała nakoniec, nikt z nas chorym nie jest. Ale dzieci nasze są słabego zdrowia i rozwijają się pod względem fizycznym nie tak dobrze i silnie jak być powinno. Jestem pewną że nie umiem sama skutecznie zapobiegać złemu i postanowiłam prosić pana o udzielenie mi rad i przepisów hygienicznych co do urządzenia domu naszego i sposobu życia całej naszej rodziny.

W ciągu dziesięcioletniej praktyki mej lekarskiej, pierwszy to raz zdarzało mi się usłyszeć, z ust gospodyni domu i matki rodziny, podobne żądanie. Spojrzałem uważnie na dzieci które otaczały p. Iwicką. Najstarsza z nich, trzynastoletnia dziewczynka stojąca za krzesłem matki, twarzyczkę ma ładną i inteligentną ale kibić smukłą, nad wiek wybujałą. Średni chłopak którego matka za szczególną jakby pieczołowitością otaczała ramieniem, posiada wyraz oczu i ust zwyczajny dzieciom z powstrzymanym w skutek ułomności jakiejś, rozwojem umysłowym. Najmłodsze z dzieci, siedmioletni malec najzdrowiej i najsilniej wygląda. Znać że wcześniej niż nad starszemi rozpostarła się nad nim umiejętna i troskliwa opieka. Prosiłem o pozwolenie przystąpienia do ściślejszego egzaminu. Iwicki usunął się na stronę ale żona jego pozostała przy mnie i w czasie gdy oddawałem się zwykłym w podobnych razach czynnościom lekarskim, mówiła mi o różnych właściwościach organizmów i temperamentów swych dzieci. Wszystko co mówiła rozsądnem było, logicznem i objawiającem niezwykły dar spostrzegania i kombinowania. Zna ona nawskroś nietylko organizmy ale temperamenty, charaktery i zdolności przybranych dzieci swych, które widocznie stanowią dla niej przedmiot nieustannych studyów. Jeżeli niegdyś zadziwiać mogła niepospolitem swem wykształceniem umysłowem, teraz znać w niej wielkie wyrobienie praktyczne. Cień przesady ani sentymentalizmu tak zwyczajnego kobietom i matkom, nie zabłąkał się w jej mowie gdy opowiadała mi o swych dzieciach. Że jednak ma ona dla nich bardzo silne przywiązanie, spostrzegłem to najlepiej w chwili gdy po odejściu dzieci, mówiłem jej o średnim chłopcu, któremu wypadek jakiś w niemowlęctwie zaszły, nadwerężył nieco układ nerwowy i mózgowy. Idyotą nie jest on, ale pozostać musi na zawsze ze słabemi zdolnościami umysłowemi. Kiedy powiedziałem jej to, ręce jej splotły się mimowoli ruchem.

— Przecież, zapytała ze wzruszeniem, pilne starania i umiejętne rozwijanie władz jego mogą w części przynajmniej zmniejszyć to nieszczęście?

Dałem odpowiedź potwierdzającą.

— A! rzekła, spodziewałam się więcej, ale trzeba czynić co można.

Prosiła mię abym obejrzeć chciał mieszkanie rozkład i urządzenie pokojów. Chciała zaprowadzić w domu swym różne urządzenia hygieniczne ale nie była pewną czy pomysły jej są trafnemi i w jaki sposób uskutecznić je należy.

Wskazała mi gestem głąb mieszkania. Poszedłem za nią.

Trzeba ci wiedzieć mój Jerzy, iż poetyczna, jednodniowa bohdanka mojej młodości, zamieszkuje teraz najprozaiczniejszy dom pod słońcem. Jest on budową zupełnie świeżej daty.

Wzniósł ją sam już Iwicki według smaku własnego, który nie jest ani artystycznym ani arystokratycznym ale po prostu praktycznym smakiem. Zewnętrzna strona kamienicy wygląda ciężko i trywialnie, wnętrze zaś jej składa się z pokojów wielkich, wysokich, widnych i doskonale monotonnych. Komnat zaciemnionych, framug tajemniczych, sufitów nizko opuszczających się spłowiałe malowania, spłowiałych również, fantastycznych obić i obrazów, wszystkich słowem tych cieni i wspomnień które napełniają stare domostwa, nie ma tu wcale. Nie ma też tu i wykwintu siedlisk ludzkich nowych lecz zbytkownych które nie będąc właściwie poetycznemi, składają się przecież na pewną miękkość i promienistość rozkoszną dla ciała i wyobraźni. W domu Iwickich znać dostatek ale połączony z mieszczańską prostotą. Sprzęty obfite ale zupełnie zwyczajne, białe wysokie sufity, okna liczne i duże, jednostajna prawie wielkość pokojów ciągnących się monotonnym sznurem, zdradzają surowość przyzwyczajeń i całego sposobu życia. Kwiaty owe nagromadzone tłumnie w bawialnym salonie, są tu jedynym przedmiotem zbytku i objawem poezyi. Zresztą, marzycielstwo i poetyzowanie wszelkie zdaje się być wygnanem z domu tego o którym mimowoli pomyślałem sobie że jest typem siedlisk pracowników nowych czasów, czynnych, przemyślnych, surowych dla teraźniejszości bo o przyszłości myślących, pragnących wszystko do koła siebie widzieć nie w zmroku i mgle ale jasno i trzeźwo.

Oglądając wraz z gospodynią domu to mieszkanie jej tak jasne i trzeźwe jak jej własne spojrzenie i tak surowe jakiem być musi jej życie, udzielając jej różnych uwag i rad których żądała, przypominałem sobie z wewnętrznym uśmiechem tę przed dziesięcioletnią chwilę, w której idąc obok niej prześliczną drogą leśną, nauczałem ją jak ma ratować od panującej podówczas epidemii, domowników i włościan. Uśmiechałem się wewnętrznie ze zbliżenia tego które jednak właściwie nic i nikogo nie zbliżało. Wtedy szła zemną dziewczyna wolna, egzaltowana, wrażliwa, fantastyczna jak senne zjawisko; teraz nad płomienistą szatą kobiety zamężnej i matki cudzych dzieci, unosiła się twarz spokojna jak woda w pogodę, z rozważnem, chłodnem prawie wejrzeniem pięknych oczu, z białem czołem tak gładkiem jak u dziewicy, ale zamyślonem i nieco dumnem, pod skromną swą chociaż bogatą koroną z czarnych warkoczy.

Gdy się jednak ma do czynienia z kobietą jakkolwiek byłaby ona niepospolitą, należy zawsze spodzie-

wać się niespodzianek. Niespodzianką taką był dla mnie pokój przez który przechodzić mieliśmy aby z sypialni dziecięcych przejść do dalszych pokojów. Pokój ten, jest pracownią także ale pracownią artystki, kobiety wytwornie ukształconej, córki szlacheckiego rodu nakoniec, która snać lubi uciekać niekiedy od trzeźwych świateł i surowej monotonii mieszczańskiego domu, do tych półcieni i wykwintów które wykołysały początek jej życia.

Gabinet to obszerny jak i wszystkie inne pokoje domu, z dwoma oknami wychodzącemi na ogród i na północ. Napełniają go sprzęty nizkie, miękkie, artystycznie wyrobione i ustawione. Ogromna szafa z książkami zakrywa tam ścianę jedną aż do wysokiego sufitu, na drugiej wisi kilka obrazów starych mistrzów, w rogach pokoju stoją posągi, u jednego z okien przyrządy malarskie, u drugiego biórko z różanego drzewa.

(d. c. n.)

PODRÓŻ DO KRAINY BAJADEREK.

Część trzecia.

Bajaderki.

(Dalszy ciąg).

Było to w roku 1793. Anglicy oblegali Pondiszery tak od strony lądu, jakoteż od strony morza. Nieszczęśliwe miasto słynne ze swego przywiązania dla Francyi, broniło przystępu do swoich murów z odwagą rozpaczy.

Przyszedł jednak dzień straszliwy w którym nie można było odpowiedzieć na strzały nieprzyjacielskie. Prochu było podostatkiem, ale zabrakło pocisków.

Trzeba było myśleć o poddaniu miasta, a ta myśl napawała nieokreśloną goryczą tak serce dowódzcy, jakoteż serca starych żołnierzy republikańskich. Nie było jednak innego środka, bo zużyto już wszystko żelazo znajdujące się w mieście, zdjęto nawet krzyże z kościołów.

W czasie rady wojennej dano znać, że jakiś Indyanin pragnie mówić z dowódzcą.

Był to Semdiza-Poule naczelnik kasty vellaja, jeden z pierwszorzędnych bogaczy miejscowych.

Wprowadzony na posiedzenie, przemówił z największą prostotą w następujący sposób:

— Dowiaduję się z boleścią panowie, że dla braku pocisków myślicie o poddaniu miasta. Na nieszczęście nie posiadam ani żelaza ani ołowiu, ale mam pięćdziesiąt skrzyń srebra i złota, które rozkazałem zawieść na wały miasta. Za pośrednictwem tych metali, możemy jeszcze czas jakiś bronić twierdzy, a tymczasem nadejdzie może spodziewana odsiecz.

Wszystkie osoby zgromadzone oklaskami uczciły czyn podobnej doniosłości.

Przez dwadzieścia dni kartaczowano Anglików złotem i srebrem. Wedle podania, nieprzyjaciel życzył sobie aby obrona miasta przedłużoną była do nieskończoności, z takiem upodobaniem zbierał kule drogocenne. Ówczesny rząd francuzki z nadanem mianem konwencyi, wyrazami wielkiego uznania przyjął wiadomość o poświęceniu Indyanina. Uczynił więcej, bo rozkazał ówczesnemu ministrowi skarbu Rolandowi porozumieć się z dowódzcą załogi francuzkiej i oznaczyć wysokość poniesionej straty. Przyjęto widocznie za zasadę obliczenia tę myśl, aby skarbowi francuzkiemu uczynić jak najmniejszy uszczerbek, bo poniesiony wydatek oznaczono tylko na dziesięć milionów franków.

Pomimo tego wypłata nie była nigdy uskuteczniona. Semdiza-Poule zanadto był dumnym, aby miał dopominać się o zwrot należnej mu kwoty i umarł w niedostatku.

Wnuk jego żyje dotychczas w położeniu blizkiem nędzy, z tego jedynie powodu, że jego przodek kiedyś okazał zbyt wielkie poświęcenie dla Francyi.

Jedyną nagrodą Semdiza-Poule była laska ze złotą gałką, jaką rząd francuzki nadał mu na własność dziedziczną.

Okoliczność ta wymaga objaśnienia.

W dawnych czasach jedynie członkom rodzin królewskich służyło prawo noszenia lasek ze złotą gałką, podobnych do pałki tambormażora w armiach europejskich. Skoro Europejczycy zawładnęli Indyami, przywłaszczyli sobie natychmiast prawo rozdawania tych oznak honorowych, zwłaszcza że krajowcy wielce są zamiłowani w zaszczycie tego rodzaju. Aby go tylko dostąpić, nie zaniedbują przekupstwa, intryg, a nawet upodlenia, dlatego świadomi tego Europejczycy, wyzyskują i szydzą ze słabości indyjskich dostojników. Widziałem jednak Indyan śmiejących się z oznak honorowych zdobiących piersi Europejczyków.

Podczas uczty weselnej patrząc na jedzących Indyan zrozumiałem przyczynę ich politycznego upadku. Wiadomo, że Indyanie nawet najbogatsi posługują się przy braniu posiłku albo ręką prawą, albo lewą, ale jak tylko jedna z nich została wybrana, to druga uważana jest za nieczystą, nie wolno jej dotknąć pożywienia i służy wyłącznie do obmywania ciała. Przesąd ten śmieszny staje się jeszcze śmieszniejszym, gdy dodamy, że osoby należące do tej samej kasty, ale jedzące ręką prawą żyją w oddaleniu od własnych krewnych jedzących ręką lewą.

Rozdział najzupełniejszy jest wyrazem stosunków indyjskich.

Głównym powodem niezgody są Bramini. Jako prawodawcy i twórcy miejscowej religii, uczynili wszystko co tylko mogli, aby lud nieoświecony i łatwowierny utrzymać w zupełnej zawisłości od siebie. Legenda ich o początku rodu ludzkiego, jest głównym źródłem umysłowej niewoli, i za nią idącej niewoli społecznej i politycznej. Kastowość ujęli w dogmat ogłaszając światu, że z wyraźnego rozkazu Boga, jedne rodziny są przeznaczone do rządzenia światem, rozkoszy i otaczania się przepychem, a drugie do pracy, nędzy i poniżenia.

Legenda religijna ułożona jest bardzo dowcipnie. Wedle niej Bóg wyprowadził Braminów ze swoich ust, a tem samem pomieścił ich w kaście naczelnej, od której zawisłemi są wszystkie inne. Xchatrias, czyli szlachta i rajah królowie pochodzą z ramion bożych mają zatem nadaną władzę nad narodem w znaczeniu cywilnem, ale zawsze pod kierunkiem Braminów. Uda bóstwa dały początek kaście vaysia, obejmującej kupców, rolników, rzemieślników, obowiązanych żywić i zaspakajać potrzeby wszelkich innych warstw społecznych. Nogi nareszcie wytworzyły kastę soudra, to jest niewolników, a samo to miano wskazuje dostatecznie los przeznaczony im na ziemi.

Pojęcia tego rodzaju tak wkorzeniły się w umysły Indyan, że wszelkie usiłowania Buddhy i późniejsze misyonarzy, dążące do ich zniweczenia były zupełnie bezskutecznemi. Synowie zrodzeni z ojca szewca, krawca lub niewolnika, muszą być koniecznie szewcami, krawcami lub niewolnikami, chociażby zdolności ich powoływały do wyższego zawodu i choćby nawet spełnili wielkie czyny i oddali wielkie usługi społeczeństwu w pośród którego żyją. Współubieganie więc i chęć odznaczenia, czynniki tyle ważne w krajach europejskich, są bez żadnego znaczenia w Indyach.

Umysł najwznioślejszy nie ma żadnego środka do wyjścia z zależności, zasypia też w bezczynności, tonąc w nieokreślonych marzeniach bez końca, i tępiąc swoją bystrość w uciechach zmysłowych. Nie dosyć na tem: prawodawca religijny chcąc zapobiedz wszelkiej samodzielności człowieka ujął wszystkie jego czynności, nawet dotyczące codziennego żywota w stałe przepisy, które dla większej powagi dźwignął do znaczenia religijnych przykazań.

Narody jednak nie mogą się obejść bez działalności, jeżeli nie we właściwem to przynajmniej w pozornem ich znaczeniu, i dlatego pozbawione wolności politycznej i cywilnej, tracąc na wartości rzeczywistej, zyskują na pysze i wypełniają czas dziecinnemi sporami dotyczącemi pozornej przewagi i znaczenia jednych nad drugiemi. Z tego powodu nastąpiła w Indyach prawdziwa wieża Babel, doprowadzająca w kolei wieków całe społeczeństwo do zupełnego rozstroju.

Przytoczymy w tej mierze niektóre przykłady.

W miastach indyjskich każda kasta posiada oddzielną ulicę i podczas uroczystości jej właściwych, przejazd a nawet przejście przez takową wzbronionem jest dla kast innych. Przekroczenie tego obyczaju, naraża na wielkie niebezpieczeństwo.

Użycie rac i ogni bengalskich, sprowadzenie muzyki na pogrzeby, noszenie trepek, obcięcie w pewnej formie włosów na głowie i na brodzie, jeżdżenie powozem zaprzężonym w jednego, dwa, lub cztery konie, jedzenie na stole pokrytym liściami z drzewa chlebowego, zastawianie stołu talerzami glinianemi, porcelanowemi, miedzianemi, srebrnemi lub złotemi i t. p. drobiazgi, aż do jedzenia jak to już mówiliśmy prawą lub lewą ręką, zastosowane są do godności przywilei właściwych odrębnym kastom lub pojedynczym rodzinom. Każdy Indyanin więcej niż o życie dba o służące mu w tej mierze prawa i gotów jest stoczyć walkę na śmierć z każdym, ktoby chciał naruszyć takowe. Dwóm ludziom należącym do dwóch różnych warstw, nie wolno pod żadnym pozorem mieć z sobą jakichbądź stosunków, a nawet jeść razem, tak, że rozdział w najobszerniejszem znaczeniu jest jedynym wyrazem miejscowych obyczajów społecznych.

Stan taki był nadzwyczajnie sprzyjającym do utrzymania przewagi Braminów nad całym narodem. Ludność ciemna, oparta na zasadzie rozdzielającej ze zwróconą twórczością do drobiazgów niegodnych uwagi, ulegała bez szemrania władzy kapłanów, nie myśląc o najmniejszym oporze.

Było to wystarczającem dopóty, dopóki obcy najezdnik nie zwrócił wzroku swego ku bogatym Indyom. W chwili jednak wejścia Mongołów, okazało się że Bramini myśląc zanadto o utwierdzeniu swej władzy nad narodem, tak dalece zbezwładnili go moralnie, że ten był niezdolnym do wytworzenia jakiejkolwiek siły do odparcia napastników. Indye odtąd stały się żyzną niwą dla rabusiów i spekulantów całego świata. Wszelka nadzieja zrzucenia zagranicznego jarzma jest nieprawdopodobną, bo Anglicy znajdują największych sprzymierzeńców w głupocie Indyan, w ich zabobonach i sztucznie wywołanej nienawiści wzajemnej. Lud obojętny jest na polityczny stan kraju, bo dla niego idea ojczyzny jest ściśle złączona z obowiązkiem składania podatku, a ostatecznie cóż go to obchodzi komu takowy ma być oddawanym. Arystokracya próbowała oporu, ale skoro ten złamanym został, to wedle starego prawidła wszystkich ludów podbitych, pierwsza sta-

rała się pozyskać łaskę zwycięzcy, aby zachować swoje bogactwa i przywileje.

Odtąd wszelkie powstanie w Indyach jest niepodobnem.

Najlepszym w tej mierze dowodem są wypadki zaszłe w roku 1856 i 1857.

W owym czasie lord Dalhousie, jeneralny gubernator Indyi wydał dekret, na mocy którego niepodległe królestwo Aoude przyłączone zostało do posiadłości angielskich. Wedle zwyczaju, gabinet Wielkiej Brytanii chciał okazać, że czyn ten zgodnym był z zasadami moralności, z dobrem cywilizacyi i szczęściem podbitego ludu. W motywach zatem ogłoszonego postanowienia zamieszczono zdanie, że król Aoude nie umiał rządzić powierzonym mu ludem. Trudno posunąć dalej lekceważenie godności człowieczeństwa.

Pomimo tego Indyanie z pokorą poddali głowę pod jarzmo najezdnika. Jedni tylko Muzułmanie stawili opór. Wystąpili do walki w liczbie czterdziestu tysięcy wojowników, ale ponieważ kilkakroć sto tysięcy Indyan patrzyło spokojnie na walkę, tem więc samem powstanie z łatwością było pokonanem.

Cała ta sprawa miała znaczenie podrzędne, ale dzienniki angielskie nadały jej niesłychane rozmiary, jedynie tylko dla zwrócenia uwagi europejskiej na bohaterstwo John Bulla. Skoro nareszcie i Muzułmanie wrócili do uległości, wówczas czyny armii angielskiej stały się godne opisu dla pociechy cierpiącej ludzkości.

Przez sześć miesięcy odbywała ona przechadzki wojskowe, kartaczując bezbronnych mieszkańców przy odgłosie muzyki. Słynna jest rzeź dokonana w miasteczku Lacnow, gdzie zabijano bez różnicy płci i wieku, i musiano potem kopać głębokie doły aby pochować siedem tysięcy trupów.

Mając list polecający do pana Jana Hastley, poborcy skarbowego, w powiecie Trinquematé, uznałem za właściwe złożyć mu wizytę.

Zajmując dosyć skromny urząd w hierarchii administracyjnej, prowadził dom na skalę bardzo wysoką, jak to jest we zwyczaju u wszystkich Anglików przebywających w Indyach. Mieszkał we wspaniałym pałacu, otoczonym pysznemi ogrodami, wytworzonemi przez matkę przyrodę, tak że praca człowieka ograniczoną została tylko do wytknięcia ulic i utrzymania takowych w należytym porządku.

W pałacu było ludno, bo około czterdziestu służących płci obojga przeznaczonych było do obsługiwania pana domu, jego małżonki i dwóch córek.

Zbytek podobny jest prawdziwie nieodzowny w Indyach, gdyż ze względu na kastowość panuje tak nadzwyczaj ściśle zachowany podział pracy, że naprzykład stangret nie wykona za nic w świecie czynności przywiązanych do obowiązków ogrodnika, lokaja i t. p. W domu utrzymanym na przyzwoitej stopie potrzeba dwudziestu służących do wykonywania dwudziestu różnych zajęć.

Wymienimy je po kolei, aby dać wyobrażenie czytelnikom o sposobie życia nababów indyjskich.

1. Doboszy czyli marszałek dworu mający władzę naczelną nad całą służbą i obowiązek uskuteczniania zakupów wszystkich przedmiotów potrzebnych do pożywienia.

2. Meti czyli kamerdyner pana mający nadzór nad garderobą i nad kąpielami.

3. Aya czyli panna służąca, oddająca te same usługi pani domu.

4. Dwie aya niższe czyli szwaczki.

5. Muzułmanin krawiec.

6. Cousicara kucharz.

7. Paya czyli kuchcik.

8. Taniergartichie czyli kobieta nosząca wodę i zmywająca naczynia.

9. Vèlacoura czyli czuwający nad lampami i nad całem oświetleniem domu.

10. Vindicara czyli stangret.

11. Dwóch caveleres mających nadzór nad końmi i powozami.

12. Dwóch pankahbohis, dla poruszenia wachlarzy tak w dzień jak i w nocy.

13. Dwóch totoucara dla przyrządzania kąpieli.

14. Czterech bohis do noszenia lektyk.

Ponieważ jeden służący nie zastąpi drugiego za nic w świecie, na wypadek więc choroby lub wydalenia którego z nich, można nie być wcale obsłużonym, pomimo tak znacznej liczby opłacanych ludzi.

Osoby zatem nie lubiące najmniejszego braku, trzymają zazwyczaj podwójną liczbę służących, szczególniej w wydziałach dotyczących bezpośrednio ich osób.

Należy nadmienić, że życie w Indyach jest nadzwyczajnie tanie. Za pięćdziesiąt franków miesięcznie, można wynająć na mieszkanie pałac otoczony ogrodami.

Służący pobiera od dziesięciu do piętnastu franków i suma ta jest wystarczająca do zaspokojenia jego potrzeb, bo już żywi się i ubiera własnym przemysłem.

Niedarmo też nadano Indyom nazwę krainy płynącej mlekiem i miodem.

W sposobie urządzenia domu pan John Hastley stosował się do zwyczajów miejscowych i różne wydziały obsługi obsadzone były podwójną liczbą ludzi. Miał jeszcze przytem sześciu parias, mających jedynie obowiązek boksowania się w celu zabawienia pana domu.

Po śniadaniu zazwyczaj poborca skarbowy pił grog i palił cygara, a nieszczęśliwi parias zniewoleni byli walczyć na kułaki. Rzecz łatwa do pojęcia, że nie mieli oni wielkiej ochoty do wybijania sobie szczęk lub gruchotania kości, to też oszczędzali się wzajemnie.

John Hastley zachęcał ich giestem i słowem, a gdy to nie pomagało, to zazwyczaj przy ósmej szklance grogu okładał ich pięściami, pod pozorem wyłożenia prawdziwych zasad sztuki boksowania. Wypada nadmienić, że na zasadzie prawa przeciwieństwa, tyle właściwego u Anglików, był on członkiem towarzystwa opieki nad zwierzętami i wystąpiłby ze skargą przeciwko każdej osobie, któraby w jego obecności ośmieliła się uderzyć psa bez prawnej przyczyny.

Oprócz tego do ulubionych jego zajęć należało krzyżowanie rozmaitych gatunków rodu kurzego; skoro raz rozpoczął mówić o tym przedmiocie, to był niewyczerpanym w różnych spostrzeżeniach.

O ile sir John Hastley był oryginałem z wielu względów, o tyle jego żona i córki były osoby przyzwoite i wychowane bardzo starannie.

Dla lepszej charakterystyki pana domu wypada nadmienić, że w chwili mego przyjazdu okładał szmatami z zimnej wody, sińce i guzy na twarzach parias, jakie im porobił wykładając prawidła boksowania.

Przyjęty byłem bardzo gościnnie.

Zatrzymano mnie na dni kilka, i na moją cześć postanowiono urządzić polowanie na słonie, aby mi dać wyobrażenie o rozrywce nieznanej w Europie.

Początkowo sądziłem, że chodzi tu o zabijanie zwierząt, dla których ja miałem tyle przyjaźni i dlatego objawiłem pewien wstręt należenia do wyprawy.

Objaśniono mnie jednak, że broń palna nie będzie wcale w użytku, ale że po prostu za pośrednictwem oswojonych słoni łapać będą dzikie, a te po upływie kilku miesięcy, pogodzą się zupełnie ze swoim losem i nie zechcą wracać do lasu.

Mając zupełnie uspokojone sumienie, z tem większą ochotą wybierałem się na polowanie, że spodziewałem się mieć nastręczoną sposobność zebrania nowych spostrzeżeń, dotyczących wielkiej zmyślności słoni.

Towarzystwo nasze powiększone zostało przybyciem dwóch oficerów angielskich, mających z sobą prócz służby sześciu słoni, wprawnych do podobnego rodzaju wypraw.

(d. c. n.)

Kronika Naukowa.

przez H. K.

Projekta nowych wypraw do bieguna. Wyprawa kapitana Howgate. Wyprawa angielska. Wyprawa p. Nordenskioelda. Śmierć p. de Compiégne. Podróże p. Bonnat po Afryce.

W roku bieżącym organizuje się kilka nowych wypraw naukowych w różne nieznane lub mało znane części świata, niektóre z nich nawet wyruszyć już musiały. Biegun północny jest celem do którego się zwraca najbardziej zajęcie uczonych, pomimo bowiem tylu wypraw z takiem zaparciem się siebie, z taką wytrwałością dokonanych, nikt nie przeniknął po za 83° stopień szerokości północnej i biegun pozostaje dotychczas zagadką nierozwiązaną, niby wyzwaniem rzuconem uczonemu światu, śmiałości i wytrwałości ludzkiej. Bardzo być może iż przedarcie się do bieguna przez te krainy lodów i ciemności, żadnej nie przyniesie korzyści, ale więcej jest podobieństwa iż one mogą być wielkie; odkrycie nowego lądu, morza od lodów wolnego, które zdaniem wielu uczonych znajdować się powinno pod biegunem, utorowanie bliższej drogi do Ameryki, rozwiązanie wielu naukowych kwestyi, oto są główne zyski jakich się spodziewają po wyprawach w te niegościnne strony. Zresztą jakiś jakoby instynkt pcha ludzkość ciągle naprzód i naprzód, czuje ona iż glob ziemski cały jest jej własnością, chce więc go poznać, zbadać we wszystkich kierunkach. Najgorliwiej tą kwestyą zajmują się Anglicy, Szwedzi i Amerykanie, ci ostatni chociaż najmłodsi, usiłują prześcignąć nawet swych starszych braci na tem polu.

Obecnie urządza się tam wyprawa pod wodzą kapitana Howgate, który ją obmyślał i urządza, a która może już i wypłynęła. Rząd Stanów Zjednoczonych nie szczędzi kosztów na takie cele, i skoro tylko kapitan Howgate projekt swój przedstawił, natychmiast 50 tysięcy dolarów na koszta przygotowań mu wyliczono. Zdaje się iż on obmyślił wszystko co bezpieczeństwo ludzi i pomyślność wyprawy zapewnić może. Środki jakie użyte będą, znacznie się różnią od tych jakie dotąd używano. Płynąc wzdłuż zachodnich brzegów Grenlandyi, ma ona dostać się do zatoki Lady Franklin i tam pomiędzy 81 82 stopniem szerokości, założyć rodzaj osady, mającej być głównym składem wyprawy. W niej, jeśli lody i zimna nie dadzą możności posuwania się dalej, wyprawa się zatrzyma i przebywać będzie choćby lat kilka, oczekując sposobnej pory, kiedy chwilowo morze z lodów oczyszczone, na dalszą ku biegunowi żeglugę dozwoli. W tych bowiem podbiegunowych strefach zdarzają się lata o wiele stosunkowo od innych cieplejsze, takim był rok 1871, wtedy to wyprawa Halla dostać się mogła do miejsc które w 1873

i 1876 okazały się niepodobnemi do przebycia, z powodu nagromadzonej niezmiernej masy lodów. Uczyniono przytem ciekawe spostrzeżenie: że im zimy w krajach podbiegunowych są cieplejsze, tem w środkowej Europie ostrzejszemi bywają. Zresztą wyprawa nie spodziewa się w swej osadzie doświadczać cięższych mrozów jak na ostatnich zamieszkałych krańcach Azyi i Europy. Jeżeli zaś możność i potrzeba się okaże, to założą skład drugi dalej jeszcze, w miejscu gdzie angielski *Alert* zimę w lodach przepędził.

Wszystko mogące się zdarzyć jest przewidzianem: gdy będą zmuszeni długo zostawać w osadzie, zwerbują pewną liczbę Eskimosów którzy im za przewodników służyć będą, a osadę swą połączą drutem telegraficznym z najbliższą amerykańską stacyą na przylądku *Union*. Lecz ze wszystkiego najbardziej zasługującem na uwagę jest to, iż ten drut telegraficzny towarzyszyć im będzie we wszystkich dalszych wycieczkach, rozwijając się w miarę postępowania i łącząc ich z ojczyzną. Czyż nie jest to najwyższy tryumf dzisiejszego ducha wynalazków? Wyprawa kapitana Howgate musiała już odpłynąć, uczeni przepowiadają jej świetne powodzenie, a cały świat z zajęciem śledzić będzie za jej losami.

Anglia nie zważając na świeże niepowodzenie *Alerta* i *Discovery*, urządza także wielką wyprawę w te podbiegunowe strony, której kosztów podejmują się wszystkie Yacht-Kluby Wielkiej Brytanii. Obecnie oprócz przygotowań, ważne toczą się rozprawy co do drogi jaką obrać należy. Nestor geografów, Petermann, profesor w Gotha, usilnie doradza trzymać się wschodnich brzegów Grenlandyi. Dowodzi on na zasadach teoretycznych, że kilka rzek większych wpadających do morza Lodowatego, muszą koniecznie tworzyć tam prąd wody cieplejszej, który podczas lata i nawet przez część zimy powinien brzegi te czynić wolnemi od lodów. Zdanie to wielu znajduje zwolenników. Praktyka jednak mówi inaczej, gdyż Nordenskioeld i kilku innych żeglarzy, nie zdołali przedrzeć się tamtędy ku biegunowi; zapewne więc wyprawa przez ciaśninę Schmidta będzie próbować przejścia.

Musimy jeszcze nadmienić iż znany profesor Nordenskioeld, tylko co uskuteczniwszy jedną pomyślną wyprawę w celu zbadania Oceanu Lodowatego, sposobi się do drugiej tenże cel mającej, jako dalszy ciąg pierwszej. Ma on zwiedzić część morza oblewającą wybrzeża Syberyi, począwszy od ujścia Jeniseju aż do ciaśniny Berhinga. Zamierza zaś powrócić przez kanał Suezki okrążając Azyę.

Świat uczony mocno uczuł świeżą stratę markiza de Compiégne, dzielnego eksploratora i badacza środkowej Afryki, który w Kairze zginął w pojedynku. Był to człowiek pełen siły i energii, nie miał jeszcze lat trzydziestu, a już podróżami swemi, najprzód po Florydzie, a później po środkowej Afryce, jakoteż zebranemi spostrzeżeniami, wielkie dla nauk położył zasługi. W towarzystwie p. Marche zwiedził on brzegi wielkiej rzeki Ogoouè, zbadał Gabon i przeniknął do miejsc przez Europejczyków nigdy nie zwiedzanych.

Gdy po tej pierwszej wyprawie do Afryki środkowej, Paryzkie Geograficzne Towarzystwo urządziło drugą złożoną z PP. Savorgnan de Braza, Marche i Ballay, markizowi de Compiégne kierownictwo jej powierzyło. Przybywszy do Kairu, zdrowie mocno nadwątlone zmusiło go do pozostania w tem mieście, gdy towarzysze w dalszą puścili się podróż. Wicekról Egiptu właśnie urządzał wtedy towarzystwo Geograficzne na wzór Paryzkiego, głównem zajęciem jego miało być zbadanie przebiegu Nilu i jego doliny. Kierownictwo powierzył panu de Compiégne, który z właściwą sobie energią wziął się do dzieła i nowe towarzystwo na wysokim stopniu rozwoju postawił. Ale śmierć przedwcześnie przerwała jego pożyteczne prace.

Pan Bonnet, po kilkoletnim pobycie w głębi Afryki wrócił niedawno do Paryża, przywożąc zapas ważnych wiadomości tak naukowych jakoteż i handlowych. Handel bowiem był głównym jego celem. Doświadczył on nie mało i przygody jego zasługują na opis. Wyjechał w towarzystwie kapitana Girard do Afryki w roku 1866. Zadaniem p. Girard było zawiązanie stosunków handlowych po nad rzeką Niger. Zamiar ten nie udał się wcale. P. Bonnet, człowiek pełen energii, woli i niezrażający się niepowodzeniem, postanawia sam prowadzić rozpoczętą pracę i w tym celu osiada nad brzegami Nigru. W tym czasie Achantowie prowadzili wojnę z Anglikami, wioska w której przebywał została przez pierwszych napadniętą, on wzięty do niewoli i uprowadzony do Kumassi ich stołecznego miasta. Król Achantów polubił go bardzo, uczynił swym doradzcą i powiernikiem.

Po pięcioletnim pobycie w Kumassi wrócił do Europy, ale z myślą powrotu jak najprędszego, gdyż nasłuchał się wiele o jakiemciś mieście Salago, będącem jakoby środkowym punktem wewnętrznego handlu. W 1875 znowu przybywa do Kumassi, król i mieszkańcy przyjmują go z najżywszą radością. Ztąd puszcza się w drogę ku miastu będącemu celem jego podróży. Na samym wstępie schwytany przez jedno nieprzyjazne plemię szczęśliwie się uwalnia i płynie po rzece Volta, zaledwie z nazwiska znanej, aż do wodospadu Krakoe. Tu znowu murzyni nie chcą go puścić dalej, musi się opłacać wodzom i dostaje się nareszcie do Salago, po wielu niebezpiecznych przejściach i przeprawach. Zrazu spotyka go zadziwienie mieszkańców na widok białego człowieka, z nieufnością patrzą na niego, ale i tu podarunki jednają mu ich przychylność. Stawiony przed króla, pan Bonnet, znając wybornie język Achantów, zdołał zjednać sobie jego opiekę i przychylność. Bawi zatem około półtora roku w tym mieście, zakłada rodzaj kantoru handlowego, zawiązuje stosunki, studyuje kraj okoliczny i jego mieszkańców, i zbiera mnóstwo notat tak pod względem handlowym jak i naukowym niezmiernie ważnych. Wraca nareszcie do rodzinnego kraju, aby zebrawszy odpowiednie zasoby, znowu lecz z większą już korzyścią, tę samą podróż odbyć.

Paryzkie towarzystwa naukowe przyjęły z wielkiem uznaniem śmiałego eksploratora, a król Belgów, gorliwy opiekun wszystkich podróżników w strony nieznane, przez długi czas z nim konferował w jego przejeździe do Liwerpool, zkąd już odpłynął ku Afrykańskim brzegom wraz z p. Bazin.

Streszczamy w kilku słowach wiadomości przez niego udzielone.

Miasto Salago leży w okolicy pięknej i żyznej, mieszkańcy jego stosunkowo są dość cywilizowani, w części przyjęli już wyznanie mahometańskie i strój wschodni noszą, inni zaś trzymają się dawnego Afrykańskiego fetyszyzmu, a odziewają się jedną sztuką materyi bawełnianej którą zarzuciwszy na ramię zręcznie się okręcają. Miasto prowadzi dość znaczny handel z Sudanem do którego dobra wiedzie droga, jakoteż do Tombuktu i jeziora Tchad. Zawiązanie stosunków handlowych i założenie kantorów, wielkie mogłoby przynieść korzyści, kość słoniowa naprzykład płaci się na miejscu 60 centymów za funt, inne tamtejsze produkta w odpowiedniej temu cenie. Zamienny handel byłby bardzo zyskowny bo i przewóz, częścią po rzece Volta, niewielkie koszta by pociągał.

Korespondencya ze Lwowa.

W chwili, kiedy szanowni Czytelnicy czytać będą tę korespondencyę, wystawa lwowska będzie już faktem na pół dokonanym, t. j., Lwów będzie już oczekiwał tylko urzędowego terminu otwarcia, ażeby pokazać to, co przygotował. Czynności przygotowawcze postąpiły w ostatnich czasach tak szybko i skutecznie naprzód, że otwarcie w razie potrzeby mogłoby być przyspieszone. Termin otwarcia (7 września) odpowiada jednak najlepiej celowi, bo pozwala interesowanym osobom po skończonem żniwie zająć się swobodnie swojem udziałem w wystawie lub jej zwiedzeniem. Uroczystość otwarcia i w ogóle cała wystawa zyska na tem wiele, że w pierwszych dniach września trwać będzie jeszcze sesya sejmu zwołanego na dzień 8 sierpnia. Znaczna większość członków sejmu należy do klasy gospodarzy wiejskich, więc każdy z nich podwójnie jest interesowany powodzeniem wystawy; raz jako gospodarz, a potem jako człowiek reprezentacyi krajowej. Jak pisałem w poprzednim liście, wystawa lwowska dzięki sprzyjającym okolicznościom odpowie zupełnie oczekiwaniu, jeżeli tylko oczekiwanie to nie oprze się na fałszywem przypuszczeniu, że w stolicy 6 milionowego kraju, wystawa powinna wypaść tak samo, jak w innych krajach zagranicy z różną ludnością. Kto taką miarę zastosuje do wystawy, ten musi zawieść się na niej, tak samo, jak zawiedzie się na przypuszczeniu, że stolica 6 milionowej Galicyi, powinna być miastem wielkiem, w europejskiem tego słowa znaczeniu. Kto zaś pamiętać będzie o tem, że wystawa odbywa się w tej wiecznie lekceważonej i potępianej Galicyi, w tym Lwowie, który słynie od dawna z jałowej ruchliwości i nie ma szczęścia czy ochoty do czynów dodatnich ten z pewnością znajdzie więcej, aniżeli się spodziewa. Komitet wystawy zajmuje się w tej chwili zapewnieniem tanich pomieszkań dla gości, których oczekuje w znacznej liczbie. Jest to zadanie końcowe ale bardzo trudne. Lwów był zawsze i jest dotąd miastem stosunkowo drogiem, a nasi właściciele kamienic, hotelów i restauracyi mają niepohamowaną żądzę wyzyskiwania wszelkich zjazdów. Kilka razy przy takiej sposobności Lwów nie popisał się w obec swoich gości, więc zadanie komitetu wystawowego jest bardzo trudne. Wiedeń, który tak zaimponował swoją wystawą powszechną z r. 1870, skompromitował się niesłychanie właśnie na tym punkcie, bo chciał formalnie skórę zedrzeć z pierwszych gości wystawczych, których w końcu dyrektor wystawy musiał wziąć w obronę w obec właścicieli hotelów i restauracyi. Wiedniowi nie zaszkodziła ta kompromitacya, bo ostatecznie wystawa powszechna musiała ściągnąć i ściągnęła rzeczywiście tłumy gości, niezważających na niesłychaną drożyznę. We Lwowie zaś nie wolno tego robić, bo w takim razie wystawa byłaby wystawiona na niepowodzenie tem przykrzejsze, ile że wszystkie inne i to główne warunki powodzenia szczęśliwie osiągnięte zostały. Licząc na spryt komitetu wystawowego i gościnność Lwowian, nie waham się już dziś zachęcić Czytelników do zwiedzania Lwowa i zapewnić ich, że ani się nie zrujnują finansowo, ani nie rozczarują, choćby im nawet stała jeszcze ciągle przed oczyma tak wzorowo i okazale urządzona wystawa warszawska z r. 1874. Lwów był licznie reprezentowany w publiczności zwiedzającej wystawę warszawską, więc ma prawo liczyć na równy udział gości z Warszawy.

Przed laty, kiedy weszła w życie nowa ustawa o stowarzyszeniach z bardzo łagodnemi warunkami, powstawało u nas niemal co miesiąc jakieś towarzy-

stwo. Dziś ustała już ta gorączka a z dawnych stowarzyszeń wytrwały dotąd tylko te, które posiadają niewątpliwą podstawę żywotności i rozwoju. Jednem z najżywotniejszych i najpiękniej rozwijających się stowarzyszeń, jest towarzystwo pedagogiczne. Cokolwiekbądź weźmiemy za miarę rozkwitu: liczba członków, częste zgromadzenia, popularność ogólną lub nawet dodatnie i trwałe skutki działalności — w każdym razie Towarzystwu pedagogicznemu należy się wszelkie uznanie. Towarzystwo pedagogiczne posiadające własny organ, czasopismo *Szkoła*, i wydział złożony zawsze z osobistości wpływowych i poważanych może liczyć na to, że jego głos w sprawach szkolnych nie będzie lekceważony, że jego projekty reform w stosunkach szkolnych nie zostaną milczeniem pominięte. To też znaczny i korzystny udział wzięło Towarzystwo pedagogiczne w wielkiej reformie stosunków szkolnych, mianowicie szkół ludowych, reformie, która po kilkoletniem dopiero zastosowaniu, wydała już znakomite owoce, a jeżeli tak dalej pójdzie, w krótkim czasie zmieni do niepoznania dotychczasowe może zanadto okrzyczane, ale na wszelki wypadek niepocieszające stosunki oświaty publicznej.

Jak w latach ubiegłych tak i w roku bieżącym, odbyło Towarzystwo pedagogiczne walne zgromadzenie, tym razem w Tarnopolu. Coroczne zgromadzenie odbywa się w innem mieście prowincyonalnem, co bardzo korzystnie wpływa na liczny zjazd i na zainteresowanie ogółu sprawami szkolnemi. Na przyszły rok zjazd odbędzie się w Nowym Sączu, ażeby zachodnia część kraju nie miała powodu do skargi, z powodu, że dotąd wybierano miasta w wschodniej części kraju położone. To ciągłe odróżnianie zachodniej części kraju od wschodniej jest następstwem głęboko wkorzenionego antagonizmu między dwoma stolicami kraju, Lwowem i Krakowem. Jest to ujemna strona naszego życia publicznego, której społeczeństwo pozbyć się nie może, choć zawsze uznaje jej niestosowość i szkodliwość. Ale o tem napiszę obszerniej przy innej sposobności, a teraz wypada zaznaczyć, że program ostatniego zjadu pedagogów był obfity i ożywiony. Oprócz spraw administracyjnych, niejako domowych, stały na porządku dziennym ważniejsze, publiczne jak np. wystosowanie petycyi do sejmu w umowie poprawienia nowych ustaw szkolnych co do postanowień, które w praktyce okazały się niedostatecznemi lub nieodpowiedniemi. Były także odczyty zastosowane do programu Towarzystwa.

Założona u nas przed rokiem za przykładem Warszawy szkoła dla sług wykazała przy zamknięciu roku szkolnego, co się w sposób uroczysty odbyło, tak pocieszające rezultaty, że można być już pewnym żywotności i rozwoju tej instytucyi w latach przyszłych. Do szkoły uczęszczało 215 uczennic. Jest to cyfra bezwzględnie rzecz biorąc nie wysoka, ale jeżeli zważymy, że uczennice są sługami, cały dzień pracą obarczonemi i raz tylko w tygodniu kilka godzin wypoczywającemi, że nawet te wolne godziny poświęcają nauce, która w tej klasie ludności bynajmniej nie uchodzi za synonim rozrywki, jeżeli to wszystko weźmiemy na uwagę, to cyfra powyższa stanowić powinna wielką niespodziankę. Gdyby tylko corocznie w tym stosunku jak dotąd przybywały nowe uczennice, to klasa sług we Lwowie już w dziesięciu latach zmieniłaby się do niepoznania. Jaka to piękna zdobycz dla oświaty, jeżeli choć połowa uczennic niedzielnej szkoły zajmie kiedyś stanowisko gospodyń samodzielnych i poznawszy raz wartość nauki, w miarę środków nada wychowaniu swoich dzieci kierunek lepszy od tego, jaki dotąd przeważa w tej klasie. Twórcy tej szkoły, jej obecny kierownik dr. Józef Żuliński i wszyscy nauczyciele bezinteresownie czas swój szkole poświęcający zasłużyli sobie na serdeczne uznanie i wdzięczność. Jest to zasługa obywatelska spełniona w wielkim zakresie i bez wielkiego hałasu, ale w skutkach swoich bardzo ważna. Zarząd szkoły niedzielnej zachęcony pomyślnym skutkiem, zaprowadza ciągle ulepszenia i reformy, z których kilka zapowiedziano już na rok przyszły. Najważniejszą reformą będzie zaprowadzenie kursu praktycznego, który — jak mówi program — ma na celu udzielanie najlepszych i najpraktyczniejszych wskazówek, o rzeczach domowego porządku, kuchni i zdrowiu. Kurs praktyczny wymaga cokolwiek znaczniejszej inteligencyi, więc uczęszczać tam mogą tylko sługi, które wykażą się znajomością czytania i pisania.

Pod prasą drukarską znajduje się dzieło ściśle fachowe, ale dla naszego kraju bardzo ważne i wielce pożądane p. t. *Flora leśna w Galicyi*. Autorem jest leśnik znany już pochlebnie z prac swoich pan Hołowkiewicz. Galicya obfitowała jeszcze do niedawna w lasy tak, że mało krajów mogło iść z nią w zawody pod tym względem. Dopiero w ostatnich latach rozpowszechniła się zgubna gospodarka leśna polegająca na wydobywaniu jak największego zysku z lasów bez względu na ich stan obecny i przyszłość. Jest to systematyczne pustoszenie, grożące w niedalekiej przyszłości nietylko dotkliwym brakiem materyału drzewnego, lecz także zgubnemi następstwami klimatycznemi. W wielu okolicach już dziś czuć się dają te następstwa, a w jednym powiecie już z natury piasczystym, spustoszenie lasów wytworzyło maleńką Saharę. Ogromne przestrzenie gruntów są już tam teraz straszne dla gospodarstwa rolnego, a złe szerzy się coraz więcej. Kraj i rząd zwróciły już na to uwagę i przystąpiły do naprawy zgubnych stosunków. Kosztem kraju powstała i jest utrzymywaną we Lwowie szkoła leśna, która corocznie wydaje stosunkowo znaczną liczbę ludzi zdolnych do prowadzenia rozumnego gospodarstwa leśnego w wielkich majątkach. Rząd zaś w inny sposób pracuje w tym samym kierunku, czuwając ściślej niż dotąd nad wykonywaniem przepisów prawnych, które mają zapobiegać pustoszeniu lasów i przygotowując projekt nowy, więcej stosunkowo odpowiadającej ustawy leśnej. Dzieło p. Hołowkiewicza posiada wartość umiejętną i praktyczną zarazem, a ta ostatnia ma podwójnie ważne znaczenie w obec stosunków powyżej przedstawionych.

Wkrótce wyjdzie we Lwowie jako przedruk z miesięcznika „Przewodnik naukowo-literacki“ książka bardzo ciekawa, traktująca o literaturze galicyjskiej w ostatnich kilkudziesięciu latach. Autorem jest p. Władysław Zawadzki, znany z kilku prac literackich większej wartości i wielu artykułów drukowanych w pismach warszawskich. P. Zawadzki wybrał sobie temat bardzo ciekawy i co ważniejsza prawie nieznany historykom naszej literatury.

B. Ł.

Przegląd literacki.

Słówko o skażeniu języka polskiego i o dziełku

Błędy nasze w mowie i w piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy. Zebrał Aleksander Walicki. Warszawa 1876.

Oprócz dwóch czy trzech wzmianek pobieżnych w niektórych czasopismach, zresztą prasa nasza mało zwróciła uwagi na książeczkę, której tytuł wypisaliśmy powyżej. A jednak warto było i należało zająć się jej szczegółowym rozbiorem i zastosować do niej naukową skalę krytyki, nie dla szczególnej wartości tej książeczki, która, jak to zobaczymy, pozostawia wiele do życzenia, ale ze względu na sam przedmiot, którego nikt, a tembardziej organa prasy nie powinny pomijać milczeniem i lekceważeniem. Są zaś i inne jeszcze dowody, świadczące, niestety, o tem, że poprawność i czystość języka należą do rzeczy przez nasze dziennikarstwo jak najmniej uwzględnianych. Nietylko bowiem codziennie wszystkie prawie czasopisma karmią nas najbardziej rażącymi błędami, ale nie zwracają żadnej uwagi na kwestye gramatyczne i językowe, o których niezmiernie rzadko można znaleść parę słów, daleko rzadziej niż np. przed 10 laty, chociaż wtedy zepsucie języka nie było jeszcze tak powszechnem, bo właśnie od tylu lat skażenie opanowało naszą mowę i wzrasta ciągle w rozmiarach przerażających. Zadługo byłoby mówić o przyczynach tego skażenia i powodach tej obojętności; byłoby to może nawet rzeczą po części zbyteczną. Pragniemy tylko, ażeby z tej obojętności, niemal występnej, otrząśli się nakoniec ci, na których głównie, a jak obecnie to nawet i wyłącznie, leży obowiązek bronić i przestrzegać czystości i poprawności języka. Przypomnimy tylko, że obojętne na własne i cudze błędy językowe redakcye bardzo łatwo posądzić o przewagę widoków spekulacyjnych, albo, co gorzej, o rozmyślne przyczynianie się do zanieczyszczenia i zatracenia pięknej i bogatej naszej mowy; piszących zaś literatów, którzy nie dbają o formę swych wypracowań lub dbać o nią nie są w stanie, krytyka z całą surowością ma prawo posądzić o pośpieszne i tandetne wyrobnictwo i o nieuctwo pod względem elementarnych zasad gramatyki. Rażące kalectwo i obce naleciałości w wielu artykułach panów literatów wykazują jasno, że niektórzy z nich już nawet zaczynają myśleć nie po polsku. Może to po części nie ich w tem wina, ale zawsze są winni w tem, że nie odróżniają swobody mowy potocznej od wymagań publicznego przemawiania w druku; że zabierając się do publicznego przemówienia nie usiłują nadać swym myślom formy czysto polskiej (czasem wypada je *przetłómaczyć*, ale przynajmniej poprawnie) i nie starają się własną pracą uzupełnić braki swoich wiadomości gramatycznych i stylowych. Raczcie, szanowni panowie, zwrócić na to uwagę, że papier zadrukowany dziś jeszcze — choć Bogiem a prawdą rzadko na to istotnie zasługuje — stanowi powagę dla wielu: zamiast więc krzewienia poprawnej i czystej polszczyzny i podawania antydotu przeciwko zepsuciu mowy ustnej potocznej, wy sami utrwalacie to zepsucie i codziennie sami używacie wyrażeń i zwrotów, które więcej daleko osób przyjmie niż sprostuje.

Teraz wracam do pracy p. Walickiego. W przedmowie swojej i on także słusznie występuje przeciwko krzewiącej skażenie języka prasie peryodycznej, ale w samej książeczce naliczyliśmy zaledwie *czterdzieści dwa* błędy, dokładnie z pism czasowych ostatnich lat kilku zacytowane. To samo już pokazuje, że skażenie języka w dziennikarstwie nie stanowi głównego przedmiotu dziełka pana W. a choć trudno byłoby narzucać autorowi przedmiot lub zakres jego pracy, stanowczo jednak uważamy za ujemną stronę dziełka to tak oszczędne korzystanie z kopalni tak bogatej, gdyż *codzień* można w naszych pismach upolować daleko więcej błędów niż przytoczył ich pan W. w całej swej książeczce. Upewnianie, że się ma daleko więcej zebranych podobnych błędów, nie przytacza się zaś ich dla oszczędności miejsca, zdaniem naszem, nie przyda się na nic; w tym wypadku trzeba przekonywać czarnem na białem, a gdy już niema innego środka ulżenia kaleczonemu językowi, wypada w ostateczności używać niemiło-

siernego i jak najbardziej drobiazgowego wytykania wszystkich popełnionych błędów. Gdyby ktokolwiek był w możności przeczytać wszystke nasze czasopisma choćby np. z jednego tylko roku i wszystkie zawarte tam błędy, uporządkowawszy je według naukowego szematu, wydał ze stosownemi objaśnieniami i sprostowaniemi, a byłby z tego tom gruby, a może i dwa, ten przysłużyłby się naszemu piśmiennictwu dziełem pomnikowem i położyłby niepożytą zasługę. Owoc podobnej żelaznej pracy, a niepodobna niemal marzyć, ażeby ktokolwiek mógł ją podjąć, byłby niewątpliwie daleko ciekawszym, ważniejszym i pożyteczniejszym dla przyszłych badaczów, historyków literatury i gramatyków niż pracowite spisy artykułów i dzieła bibliograficzne p. Estrejchera. Pan W. przytacza zwykle po dwa i trzy, a czasem i więcej wyjątków na każde dostrzeżone przez siebie zboczenie, tak że owe 42 błędne wyrażenia prasy, właśnie tym sposobem przytoczone, świadczą najwyżej *o kilkunastu* tylko pochwyconych żywcem w prasie błędach. Tak więc *o skażeniu języka literackiego* w broszurce pana W. nie znajdujemy tak dobrze jak nic zgoła. Wskutek tego dodatek *w piśmie*, umieszczony w tytule książeczki, niebardzo jest usprawiedliwiony, zwłaszcza jeśli chodzi o *pismo drukowane*. Jest tam wprawdzie jeszcze kilkanaście może przytoczeń z książek niedawno drukowanych i dawniejszych, ale tego tak niewiele, a przytem ułamkowe takie sprostowania, zwłaszcza z książek dawnych wyjęte, mało budzą interesu, jako nienależące do żywotnej sprawy, która jest zarazem kwestyą bieżącą, *obecnego* skażenia języka. Pozostają więc błędy mowy *ustnej*, jako przeważny, niemal wyłączny przedmiot pracy pana W. Wiem dobrze, że ten zakres jest daleko szerszym od sfery błędów wyłącznie literackich lub tylko dziennikarskich, a nawet, już z natury rzeczy, obejmuje wiele z tych ostatnich, jako ich źródło; ale właśnie ten zakres wydaje mi się zbyt szerokim, nieograniczonym, a czasem nawet nieokreślonym.

Autor zapowiada dalsze serye swojej pracy, ale nie wiem, ilu to lat i ilu podobnych do niniejszej objętością książeczek potrzeba, aby wyczerpać bogaty ten przedmiot. Autor wziął na siebie zadanie prostować błędy klasy tak zwanej wykształconej; ale klasa wykształcona nie jest kastą i rekrutuje się często z niewykształconej — z ludu, jak i język książkowy powstał z ludowego. Otóż, mówiąc o błędach mowy ustnej, nie należałoby pomijać i rażących, choć bardzo rozpowszechnionych błędów mowy ludowej jak np. zatracenie dźwięków nosowych (bede, matke) albo zastępowanie takowych brzmieniem *m* (jadom), alteracyą samogłosek (np. *pon* zam. pan i t. d. Zapuściwszy się w tę sferę, badacz miałby nieraz kłopot i mógłby uczuć, że niezawsze ma prawo zaliczać do błędów wyrazy, formy i wyrażenia ludowe, nieznane w mowie tak zwanej książkowej jak np. wahalibyśmy się potępić przytoczone przez p. W. *ledwość* i *przez* zam. *bez* (napotykane nawet u pisarzy XVI wieku) albo takie formy jak *font*, *szaconek*, bardzo rozpowszechnione, gdyż ta okoliczność, że są to wyrazy obce, mające *u* w językach, z których pochodzą, nie jest jeszcze dostatecznem kryteryum: wszak wolno nam było np. z niemieckiego Schlosser uczynić ślusarza, z zamianą *o* na *u*; w owych zaś *font*, *szaconek* i t. d. prawdopodobnie *u* przeszło tylko w *ó*, w którem następnie zniknął ów odcień pośredni między *o* i *u* i wyrobiło się czyste brzmienie *o*. Oprócz tych kilku przytoczonych, autor nie wspomina żadnych innych błędów gwary ludowej polskiej. (*d. c. n*).

Wiadomości bieżące.

Niemcy nie mogą nacieszyć się księciem Bismarkiem i cała czereda panegirystów i pochlebców, zachwycona tem, że żelazny książę, surowo karci wszelkie niekorzystne o sobie głosy, nie znajduje już słów ani sposobów sławić to wszystko, co ściąga się do wielkiego kanclerza. Nazwisko księcia jego bardowie tłómaczą jako oznaczające „podwójny mózg" (bis po łacinie *dwa razy*, *Mark* po niemiecku *szpik*, *mózg*; dwujęzyczne tłómaczenie, jak widzimy niezbyt fortunne) i na ten temat siłą się wytwarzać mnóstwo rymowanych konceptów, ciężko dowcipnych, najczęściej płaskich. Herb Bismarka (listki koniczyny i liście dębowe) dostarcza także przedmiotu do pseudo-poetyckich porównań i alegoryi, podobnie jak godło herbowe („in trinitate robur" w trójcy siła), ktore tłómaczą jako oznaczające trójcę bohaterską: Bismarka, Moltkego i Roona (czemu nie Wilhelma?). Uwiecznione w humorystycznym Kladderadatsch'u „trzy włosy" Bismarka i jego łysina również dostarczają natchnienia poezyi niemieckiej. Jakiś doktor-poeta z Hettstädtu głęboko tłómaczy owe trzy włosy, jako symbole walki Bismarka „ze zgrają czarną (z duchowieństwem katolickim), ze zgrają czerwoną (z demokratami) i z francuzką hałastrą!" Inny znowu poeta, zaniepokojony pogłoską, że Bismark zamierza sobie sprawić perukę, w przesłanym kanclerzowi z tego powodu wierszyku pociesza się myślą (niezbyt, co prawda, uderzającą ani oryginalną), że i pod peruką głowa Bismarka pozostanie ta sama. Wiadomo, że kanclerz urodził się 1 kwietnia. W Niemczech, podobnie jak i u nas, istnieje zwyczaj zwodzenia na *prima aprilis* i język niemiecki posiada odrębne na oznaczenie tego zwyczaju wyrażenie: *in den April schicken* (posłać do kwietnia). Otóż wierszokleci skorzystali i z tego zbiegu okoliczności w licznych wierszowanych powinszowaniach, któremi zarzucają corocznie kanclerza w dzień jego urodzin. Jeden np. wyraża życzenie, ażeby Niemcy były zawsze oszukiwane tylko podobnemi niespodziankami, jak narodzenie Bismarka; inny (podobno jakaś poetka) zapewnia, że Bismark nigdy nie wyprawi Niemcom *prima aprilis* i t. p. Wiele z tych lichych utworów ułożone są w dolno-niemieckiem narzeczu (plattdeutsch), a to w tym celu, ażeby nadać tym konceptom cechę poezyi ludowej i wmówić w Europę, że kanclerz niemiecki został już za życia bohaterem ludowym, postacią legendarną, do czego jeszcze podobno daleko.

Wielki automat, znajdujący się w Berlinie, w gabinecie figur woskowych Kastana, Turek, zwany Ajeeb, gra w szachy z każdym z widzów, po nakręceniu go, nakształt zegara, wobec publiczności. Utrzymują jednak podejrzliwi, że to ostentacyjne nakręcanie jest tylko zamydleniem oczu, gdyż w automacie siedzi człowiek, dla którego urządzono dość miejsca we wnętrzu Ajeeba.

W cywilizowanych Niemczech dziwne dzieją się czasem rzeczy. Oto np. konferencya nauczycieli szkół ludowych w Dreznie długo obradowała nad systemem kar cielesnych dla uczniów, *jak najboleśniejszych*, ale jak *najmniej szkodliwych* zdrowiu. Grono pedagogów zastanawiało się drobiazgowo nad rozmaitemi narzędziami kary i nad wpływem razów na rozmaite części ciała, a owoc głębokich wywodów i wniosków konferencyi wydrukowano w programie publicznym szkół ludowych Drezna.

Profesor fizyologii w Jenie dr. Preyer ogłosił niedawno nową teoryą, mającą wytłómaczyć zawsze jeszcze zagadkowe zjawisko snu. Utrzymuje on mianowicie, że wskutek ruchu i pracy (tak fizycznej jak umysłowej) w muskułach i w mózgu wyrabia się płyn, będący kwasem mlecznym, który chciwie łączy się ze znajdującym się we krwi tlenem, wskutek czego następuje obezwładnienie organizmu. Według tej teoryi, kwas mleczny posiadałby siłę usypiającą, równie jak np. opium. Podobno jednak doświadczenia nie stwierdziły tego mniemania.

Przed nowym rokiem pojawiły się w Paryżu i w Niemczech nowe zabawki dla dzieci i dorosłych, a mianowicie białe kartki papieru, na których tylko po ogrzaniu występują kolorowe rysunki, wierszyki, napisy i t. d. a z ochłodzeniem znowu znikają. Zabawna ta sztuczka opiera się na własności niektórych połączeń metalicznych (kobaltu i innych) przybierania pewnej barwy tylko po wysuszeniu; dla tego rysunki i napisy, temi farbami metalicznemi wykonane, są widoczne tylko po ogrzaniu, to jest raptownem wysuszeniu: z ochłodzeniem zaś, lub nawet tylko dmuchnięciem przywracamy papierkom ilość wilgoci, niezbędną do normalnego stanu metalu, który przestaje być wówczas widocznym. Tym sposobem możnaby np. farbami metalicznemi wykonać na kawałku papieru krajobraz zimowy, biały, który wskutek ogrzania przemieni się w zielony krajobraz wiosenny. Możnaby również wyrabiać ekrany i umbrelki do lamp, które tylko ogrzane będą kolorowemi, a więc niejako mogą służyć do regulowania ciepła i światła. Nakoniec te farby mogą być użytemi do obić, które tym sposobem w dni jasne byłyby kolorowemi, przyciemniającemi, a w dni pochmurne jasnemi. Jeżeli do tego przyjdzie, to takie obicia będą niewątpliwie zaspokojeniem najwyższego ideału doskonałości obić.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 19 (31) Іюля 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 30.

(Dokończenie).

Rycina 40 załącza w naturalnej wielkości brzeżek z kwadracików webowych łączonych pajączkami, jakim oszyte są rogi kołnierzyka ryc. 38. Na każdy kwadracik potrzeba 2 cent. tasiemki 1 cent. szerokiej lub takiegoż kawałeczka płótna białego lub granatowego, który składa się we dwoje i łączy za rogi jeden z drugim; pajączki dorabiają się igłą.

N. 41—42. Mantylka szalowa.

Może być z czarnej jedwabnej materyi, kolorowego kaszmiru lub też z lżejszego materyału; potrzeba na nią prostego kawałka materyału 195 cent. długości, 50 szerokości mającego, w końcach ściętego skośno, z przedniego brzegu wyłożonego w ranwers 13 cent. szeroki. Pasmanterya jedwabna 7 cent. szeroka i frendzla kwaścikowa 10 cent. szeroka stanowią przybranie mantyli, związanej z przodu wstążką repsową 5 cent. szeroką.

N. 43. Mantyla chusteczkowa. Szlak patrz ryc. 24.

Kraje się wzdłuż z prostego kawałka materyału, na 60 cent. długości z tyłu, ku końcom przednim trochę ścina szpiczasto. Przedni zupełnie prosty brzeg liczy 205 cent. długości i odwinięty jest w ranwers 9 cent. szeroki, z tyłu przepięty kokardą z długiemi końcami. Przybranie mantylki z piaskowego kaszmiru stanowi szlak wyhaftowany podług ryc. 24, niekręconym jedwabiem: w dwóch cieniach niebieskich i żółtych, ponsowym i różowym, tudzież frendzla kwaścikowa wiązana z jedwabiu takichże kolorów.

N. 44. Koszyczek okrągły.

Okrągły koszyczek odpowiedni na różne drobiazgi toaletowe a nawet do włożenia lekkiego vêtement, lub sukni równo złożonej i zwiniętej, otwierający się w jednym końcu, a opatrzony w pośrodku uchem do noszenia liczy 42 cent. długości a 50 obwodu. Koszyczki takie za granicą są bardzo rozpowszechnione i nie drogie.

Trzy pasy szlaku haftowanego włóczką crewel podług ryciny 20 w N-rze 12 stanowią przyozdobienie koszyczka; z boków wiszą kwaściki z kulek.

N. 45. Zielnik ozdobiony malowaniem nakrapianem.

Oprawę zielnika stanowią dwie tafelki drewniane złączone z sobą za pomocą przeciągniętych rzemyków (jak na ryc. 45) po 21 cent. szerokie a 17 długie, obejmujące w środku grubą warstwę ćwiartek z bibułki. Deseczki te dające się ściskać silnie rzemykami stanowią zarazem praskę dla układanych roślin które chcemy zasuszyć. Przyozdobienie stanowi bukiecik robotą nakrapianą, znaną od lat kilku naszym czytelniczkom.

N. 46. Ubranie wizytowe.

Odpowiednie dla młodej zaledwie wchodzącej w świat panienki, wykończone jest z białego tiulu. Suknia zagarnirowana jest plisowanemi falbaneczkami, tunika upięta jest lekko i zręcznie z bryta całkowitej szerokości. Bluzka zaszywana w zakładki w odstępie 3 cent., ma rękawy sięgające do łokci suto garnirowane riuszą i falbankami, które powtarzają się przy wykroju szyi. Pasek z materyi zaplisowanej w fałdki. Włosy spuszczone w warkoczach; kilka blado-różowych różyczek dopełnia tego gustownego ubrania.

Opis do N. 31.

N. 1—3. Toalety letnie.

N. 1. Ubranie dla małej dziewczynki.

Sukienka formą princesse z kwadratowym wykrojem stanika, z przodu i z tyłu kraje się prosto w górze, a ramiączka dodane są oddzielnie. Głębokie fałdy z przodu i z tyłu, (na które dodaje się w krajaniu materyału) oszyte są wzdłuż wypustkami z materyału gładkiego w odmiennym kolorze, z którego daje się także pasek z wy-



N. 1. Ubranie dla małej dziewczynki.

N. 2. Ubranie spacerowe z paltocikiem bez rękawów. Plecy na ryc. 40 w N. 32. Krój paltocika N. XI, Fig. 50—52.

N. 3. Ubranie strojne. Vêtement z dodanemi częściami paltocikowemi i draperyą na spódnicy. Krój N. VII, Fig. 26—33.

pustkami przy wykroju stanika, ramiączka krótkie rękawki i szarfę. Bluzka biała muślinowa z długiemi rękawkami; kapelusik pasterski ubrany wiankiem kwiatów i wstążką mającą jedną stronę atłasową, drugą serge, dopełniają ubranie.

N. 2 i ryc. 47 i 50 w N. 32. Ubranie z paletocikiem bez rękawów. Zobaczyć toż ubranie z tyłu na ryc. 50 i ryc. 47 w N. 32. Krój paletocika N. XI, Fig. 50—52-a.

Ryc. 50 przedstawia podpięcie z tyłu tuniki spódniczkowej i ubranie pleców paltocika bez rękawów, którem dopełnia przy kostiumie ubranie spacerowe. Na ryc. 2 widzimy kostium z lekkiego wełnianego materyału, z jednym skośnym wolantem przy spódnicy; tunika zaś i paletocik oszyte są plisą jedwabną odmiennego cieniu lub koloru, naszytej wązkiemi wełnianemi pletniami, garnirunek ten w połowie naturalnej wielkości podajemy na ryc. 46 w N. 32 Tygodnika. Do sukien perkalowych lub płóciennych, plisy dają się z odpowiedniego materyału do prania, a pletnie zastępują plecionki bawełniane, albo wązkie stębnowane listewki. U dołu na plecach paltocika (w sposób na ryc. 50 wskazany), naszyty jest taki jak z przodu garnirunek, wynoszący razem $9^1/_2$ cent. szerokości.

Model ryc. 50 odrobiony był z płótna granatowego, spódnica ozdobiona szerokiem, kilka razy przestębnowanem plisowaniem. Długa tunika i paltocik oszyte skośną plisą z czarnemi wypustkami bez sznureczka i białą nicianą koronką; guziki białe webowe, lub granatowe. Z przodu paltocik zapina się na małe guziczki lub hafteczki które listwa z garnirunkiem zasłania.

N. 3. Strojne spacerowe ubranie. Vêtement z częściami paltocikowemi i draperyą na spódnicy. Tył sukni na ryc. 52. Krój N. VII, Fig. 26—33.

Tak krój, jak dobór materyałów i garnirunku, złożyły się na utworzenie wykwintnego i odznaczającego się ubrania. Suknia z czarnej Faille i grenadyny w wązkie ażurowe i szersze matowe paski, miała vêtement ogarnirowane plisowaniem z pięknych koronek i przybrane kokardami z Faille, z podszewką z wstążki tilleul, która wszędzie jest widoczna i bardzo ożywia całe ubranie. Ponieważ vêtement jest prawie tak długie jak suknia a z tyłu na tren przedłużone; spódnica więc może być zupełnie gładka, tylko wązkiem muślinowem plisowaniem podgarnirowana. Wzór bardzo dobrze leżącej spódnicy podajemy na ryc. 48 w N. 32, a model i miary kroju na Fig. 49. Krój zaś vêtement z paltocikiem znajduje się na Fig. 26—33 i na zmniejszonym rysunku Fig. 26-a—29-a. Najpierw przykrawa się z Faille pierwszą część przodu, podług Fig. 26, podaje się pod nią podszewkę z fularu, zaszywa zakładkę w piersiach i przecięcie z boku; następnie drugą paltocikową część przodu, boczek i plecy, kraje się z grenadyny na podszewce fularowej zeszywa ze sobą podług oznaczonych liter i łączy z pierwszą częścią w ten sposób, ażeby paltocik zachodził na wierzch do prostej linii, oznaczonej A — B a brzeg górny wystającej części przodu podchodził pod dolny brzeg paltocika aż do dwukropka czyli do plecków. Przez całą długość aż do części fałdowanej vêtement zapinane jest z przodu na guziki. Dolną część przykrawa się z grenadyny podług miary oznaczonej na zmniejszonym rysunku Fig. 30, a tylne bryty podług Fig. 31. Ułożenie fałd oznaczone jest krzyżykami na Figurach

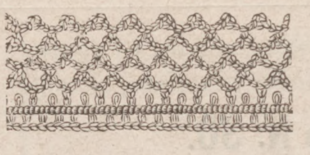
i wskazane na ryc. 3 i 52. Tylne bryty zeszywa się gładko ze sobą, następnie od dołu do *K* przyszywa się także gładko do przodu, poczem brzeg górny układa się w 6 równych fałd, założonych w jedną stronę, dopasowanych do szerokości pleców, obejmuje skośną listewką i przyszywa od spodu do pleców, od F do gwiazdki. Z lewego boku od góry do *K* bryt tylny z przodem jest także gładko zeszyty, a zbywająca długość wynosząca około 50 cent. spada na dół w kształcie pukla czyli bufy. Założenie 4-rech poprzecznych fałd od dołu najlepiej wypróbować podług figury, przeszyć wzdłuż w środku przodów, drugi raz z boków w odstępie 40—45 cent., trzeci raz na brytach tylnych 25 cent. od szwa, w miejscu na Fig. 31 wskazanem. Nakoniec bryty tylne w odstępie 77—60 cent. od dołu są poprzecznie w 7-em fałd ściśle przefałdowane i do prawej strony przodu od dołu gładko przyszyte, w górze zręcznie przyfałdowane; ilości i miejsca fałdek niepodobno oznaczyć, bo te zręczna i wprawna ręka musi dopasować podług figury. Na modelu przyszycie brytów do plecków przykrywała kokarda z Faille materyą koloru tilleul podszyta, 13 cent. szeroka pod którą przymocowany był równej szerokości koniec 120 cent. długi, przewinięty z prawego boku (w sposób na ryc. 52 wskazany), aż do miejsca na Fig. 31 literą *K* oznaczonego, gdzie przez mały w szwie otworek jest od spodu przeprowadzony, następnie przez taki otworek na wierzch z lewego boku wydobyty i przełożony w węzeł podtrzymujący bufę bryta tylnego; pod którym takowa jest w pół rozety ułożona; pozostały 20 cent. długi koniec jest wolno puszczony. Garnirunek paltocika stanowi plisowanie z koronki 6—8 cent. szerokiej w górze nagłówkiem z koronki 3 cent. u dołu koronką 6 cent szeroką oszyte. U dołu przy vêtement 12 cent. szeroka koronka jest w kontrafałdy ułożona, nad nią naszyte plisowanie z koronki 6—8 cent. z nagłówkiem 3 cent. szerokim. Szerokie mankiety przy rękawach naszyte są wzdłuż (w odstępie 1 cent.) patkami z Faille, szerokiemi, w górze spiczasto zakończonemi; u góry miankiet oszyty jest 6 cent. szerokiem plisowaniem z Faille, które pokrywa równie szeroka koronka, u dołu na plisowanie z materyi koloru tilleul zachodzi koronka 3 cent. szeroka.



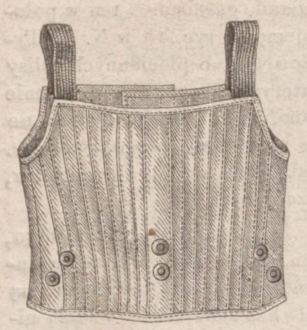
N. 4. Koroneczka. Robota szydełkowa i ząbki z plecionki.



N. 6. Zasłona do okna. Cerowanie na tiulu. Narożnik szlaku i deseniu środkowego ryc. 7, resztę deseniu na Fig. 22 i 23 na arkuszu z krojami.



N. 5. Koroneczka szydełkowa z tasiemeczką Mignardisse.



N. 8. Gorsecik dla dziewczynki lat 3—6. Plecy na ryc. 9. Krój N. IV, Fig. 16—18.



N. 10. Suknia princesse z tyłu zapinana, dla panienki do lat 10. Przód na ryc. 18 w N. 32. Krój podług N. III, Fig. 10—15.



N. 12—13. Kaftanik dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. VIII, Fig. 34—40.



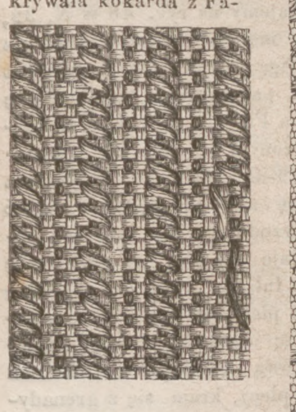
N. 11. Suknia princesse z paltocikowem naszyciem garnirunku, dla panienki lat 8—10. Plecy na ryc. 20 w N. 32, Krój podług N. III, Fig. 10—15.



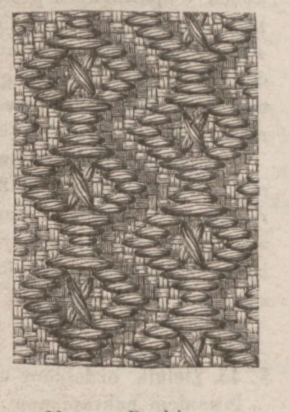
N. 9. Gorsecik dla dziewczynki lat 3—6. Przód i krój patrz N. 8.



N. 7. Narożnik szlaku i deseniu środkowego w naturalnej wielkości, do ryc. 6. Cerowanie na tiulu.



N. 14. Próbka wyszycia na kanwie Jawa, do ryc. 1 w N. 32.



N. 15. Próbka wyszycia na kanwie Jawa do ryc. 1 w N. 32.

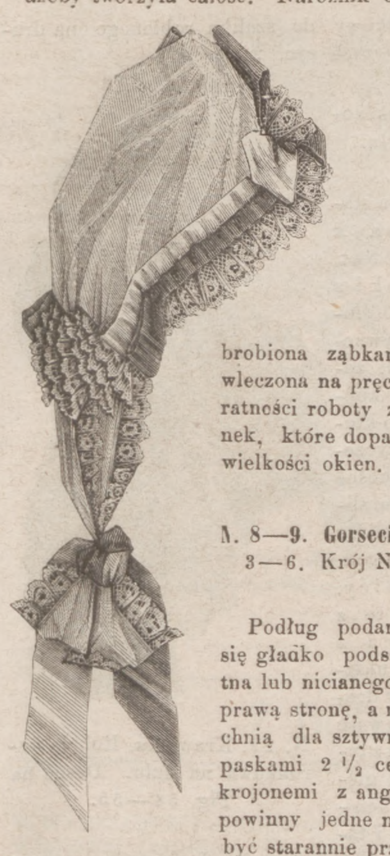
N. 4—5. Dwie koronki. Robota szydełkowa przy ząbkach z plecionki i przy mignardisse.

N. 6—7. Zasłona do okna. Wywodzenie na tiulu.

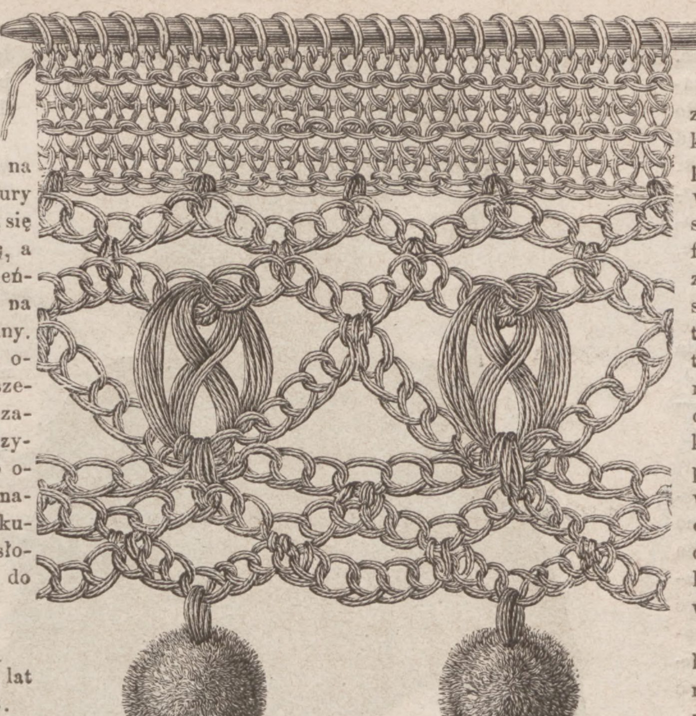
Materyał: Najcieńszy, gęsty tiul brukselski, przędza świecąca N. 20 i 60. Deseń środkowy Fig. 22 i 23 na arkuszu z krojami.

Zasłonki tem się różnią od zastawek do okien, iż nie są do stojącego postumentu przymocowane, tylko przyczepione w górze do pręcików, które się na małe w ramę wbite, chaczyki zakłada. Do średniej wielkości okien, zasłonki mieć powinny 56—60 cent. wysokości a 45—50

szerokości. Ryc. 7 przedstawia w naturalnej wielkości narożnik szlaku; na Fig. 22 podajemy połowę środkowego deseniu, którego część druga powinna być przerysowana i starannie dopasowana ażeby tworzyła całość. Narożnik do szlaku górnego, znajduje się na Fig. 23. Kontury deseniu wywodzą się przędzą grubszą, a tło ceruje się cieńszą w sposób na ryc. 7 wskazany. Z brzegów dany obrąbek 1 cent. szeroki, a w górze zasłonka jest przysznurowana albo obrobiona ząbkami szydełkowemi i nawleczona na pręcik. Od równości i akuratności roboty zależy piękność zasłonek, które dopasowane być muszą do wielkości okien.



N. 18. Czepeczek ranny muślinowy.



N. 17. Szlak szydełkowy do szalika robionego na drutach. Ryc. 21.



N. 16. Mitenka robiona na drutach. Zobaczyć szlaczek szydełkowy na ryc. 46 w N. 32.

N. 8—9. Gorsecik dla dziewczynki lat 3—6. Krój N. IV, Fig. 16—18.

Podług podanej formy przykrawa się gładko podszewkę z mocnego płótna lub nicianego drelichu, zeszywa na prawą stronę, a następnie część zwierzchnią dla sztywności naszywa się całą paskami 2 $^{1}/_{2}$ cent. szerokiemi, przykrojonemi z angielskiej dymy, które powinny jedne na drugie zachodzić i być starannie przystębnowane. U dołu w pleckach wszyte są kliniki (Fig. 18) na których naszycie zwierzchnich pasków musi być stopniowo trochę rozszerzone, na szwach bocznych daje się paski szersze, a z przodu i z brzegów pleców listewki 4—5 cent. szerokie. Ramiączka są z taśmy elastycznej 2 $^{1}/_{2}$—3 cent. szerokiej, a brzegi gorsecika ostębnowane tasiemką. Do zapinania z tyłu służą guziki i dziurki.

N. 10 i ryc. 18 w N. 32 Tygodnika. Sukienka princesse z tyłu zapinana, dla dziewczynki lat 6—9. Krój N. III, Fig. 10—15.

Ciągle jeszcze dla niedorosłych panienek wszelkiego wieku, forma princesse najbardziej jest używana, dla tego też oprócz podanych poprzednio, załączamy jeszcze jedną formę, którą z łatwością można odpowiednio do wzrostu zmniejszyć lub powiększyć, oraz zaprowadzać rozmaite małe zmiany praktykowane w tym fasonie; jak zapięcie proste z przodu lub z tyłu z boku albo skośne, dodanie z tyłu dłuższej lub krótszej części fałlowanej z boku przy obydwóch częściach plecków której zeszycie zakończa nagłówek, albo przykrywają szarfy przyszyte z boków. Na formie Fig. 13 i na zmniejszonym rysunku Fig. 13-a takowe dodanie materyału, dla rozszerzenia sukni u dołu oznaczone jest punkcikami. Takie przypuszczone kawałki w górze układa się w głęboką od spodu złożoną kontrafałdę i wszywa pomiędzy szew od *T* do *U*.

Sukienkę z niebieskiego w drobną kratkę kretonu, (którą podajemy na ryc. 18 w N. 32 Tygodnika), bardzo zdobi ubranie w guście bretońskim z jaśniejszego w większą kratę kretonu, i szlaczku białego haftowanego. Przód jest w jednej sztuce ukrojony a bretońskie ubranie odznaczone plisami i szlaczkiem; wykrój stanika do szmizetki z przodu, urządza się podług ryc. 18, a ranwersy dodaje się skośne, zarówno jak i mankiety. Z tyłu sukienka miała wstawioną część dolną, zakończoną nagłówkiem jak na ryc. 19 w N. 32 Tygodnika, a od góry aż do wstawionej części zapinana była na guziki. Falbana plisowana z tego co plisy materyału.

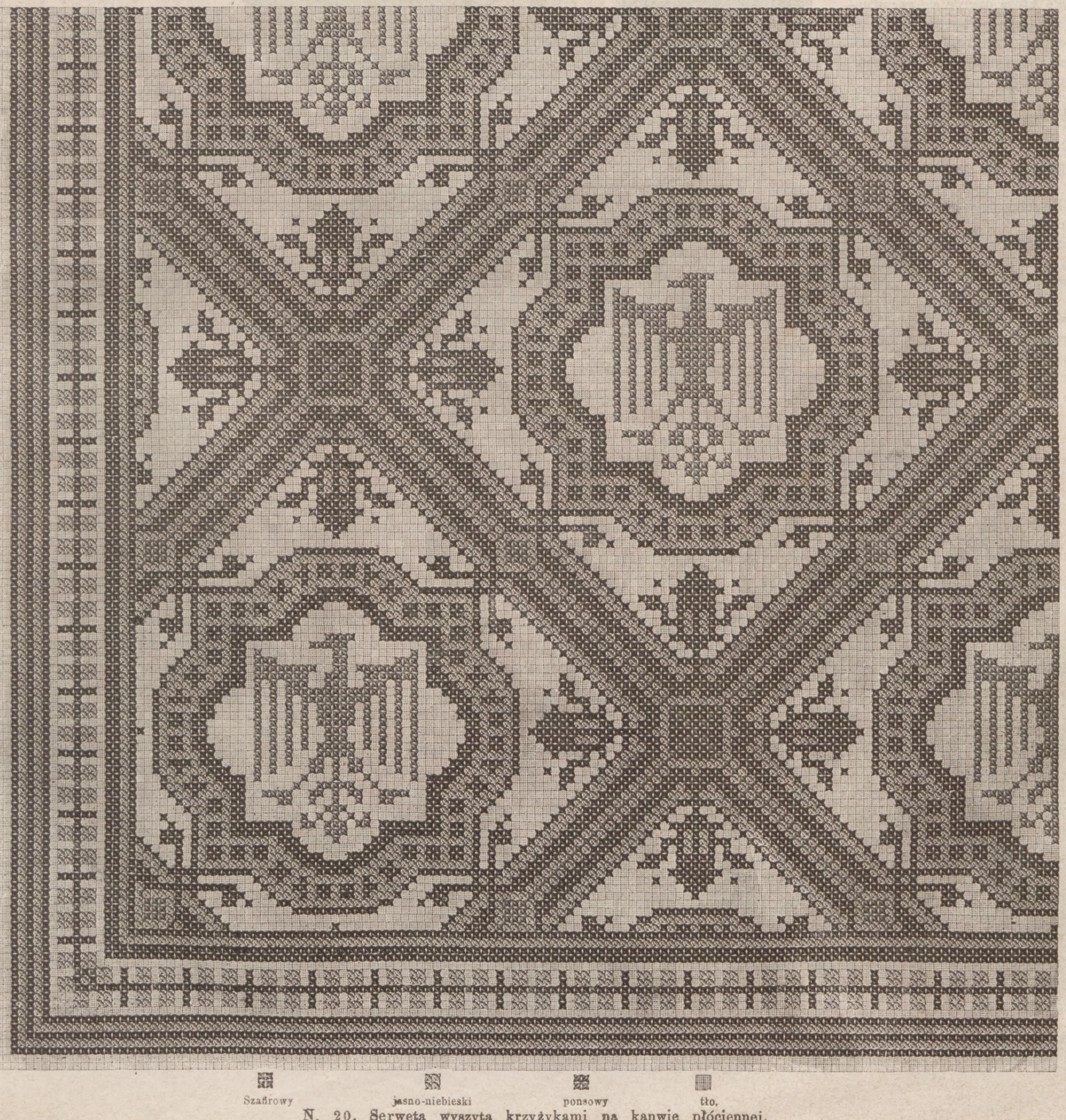


N. 19. Czepeczek ranny z denkiem fałdowanem.

Na ryc. 10 widzimy sukienkę z kretonu w kratkę oprócz plisowanej falbany przybraną gładkiemi plisami odmiennego koloru i szlaczkiem białym Trimming. Plecy nierozszerzone u dołu, zapięte są przez całą długość na guziki; szarfy wszyte między szew boczny, spuszczone są skośnie i związane w środku na kokardę.

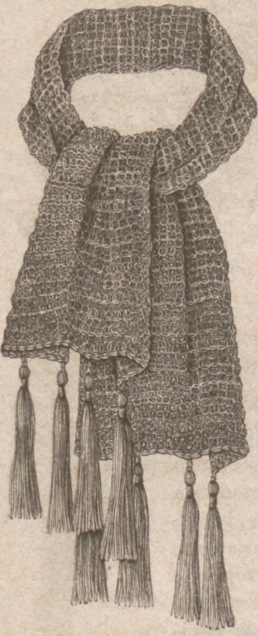
N. 11 i ryc. 20 w N. 32 Tygodnika. Sukienka z garnirunkiem paltocikowym. Krój jak do ryc. 10.

Z przodu zapinana biała pikowa sukienka, naszyta bawełnianą torsadką i ozdobiona wstawkami haftowanemi podwle-



N. 20. Serweta wyszyta krzyżykami na kanwie płóciennej.

czonemi kolorową wstążką, albo plisami w kolorowy rzucik, przyszytemi ząbkami z plecionki jak na ryc. 11. ma garnirunkiem odznaczony długi paltocik, zakończony u dołu haftowaną falbaną. Wzdłuż pleców aż do garnirunku wstawka lub plisa naszyta 3 razy; u dołu od naszycia garnirunku plecy rozszerzone podług Fig. 13. Kieszonka w środku ułożona w kontrafałdę z boków wywinięta jak na ryc. 11.



N. 21. Szalik włóczkowy robio y na drutach.

N. 12—13. Paltocik dla dziewczynki lat 3 — 5. Krój N. VIII, Fig. 34—40.

Taki paltocik odrobiony być może z tego co sukienka materyału, albo z aksamitu, sukna lub kaszmiru, jeżeli ma służyć do każdego ubrania. Stosownie do obranego materyału, paltocik może być odrobiony bez, albo na podszewce; mieć wypustki kolorowe jedwabne albo do prania i być oszyty szlaczkiem haftu lub koronką nicianą, albo koronką czarną, pasmanteryą lub galonem jedwabnym. Plecy zeszywa się tylko do wcięcia stanu, niżej do jednej połowy dodane jest w kroju na patkę którą oszywa się garnirunkiem, zakłada na drugą połowę, zczepia nieznacznie od spodu, a z wierzchu zdobi guzikami. Ranwers do mankieta i do kieszeni, odznaczony jest na Fig. 38 i 40.



N. 23. Szalik na głowę. Robota na drutach i szydełkowa. Próbka szlaku na ryc. 17.

N. 14—15. Próbki wyszycia na kanwie jawa do ryc. 1 w N. 32 Tygodnika.

N. 16 i ryc. 56 w N. 32. Mitenka robiona na drutach.

Materyał: Bawełna popielata kordonkowa N. 40, trochę bawełny cienkiej białej estramadura.

Mitenkę zaczyna się od dołu, na drutach stalowych na ocz. 88; obrabia w koło 80 razy zawsze 2 o. kr. 2 gładko, potem odlicza się 28 ocz na otwór wielkiego palca, dodaje do nich nowych o. 4, zarabia się łańcuszkiem, pozostałe oczy obrabia się jeszcze w koło 28 razy, zarabia luźno łańcuszkiem, a na koniec brzegi obrabia się szydełkiem bawełną białą, podług próbki podanej na ryc. 56 w N. 32. Tygodnika.

N. 17. Szlak szydełkowy do szalika robionego na drutach ryc. 23.

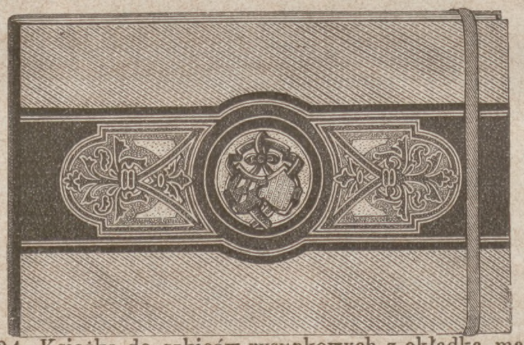
N. 18. Czepeczek muślinowy z końcami z tyłu.

Foremkę czepeczka stanowi podwójny pasek 2—3 cent. szeroki a 55—60 długi, sztywnego tiulu, zeszyty w końcach, do którego przyczepia się skośne denko muślinowe, mające 30—35 cent. średnicy. Denko to z przodu i z boków układa się w drobne równe fałdki, a z tyłu w 2 głębokie kontrafałdy i fastrzyguje w ten sposób do foremki ażeby z przodu odstawało a z tyłu leżało gładko. Z tyłu do denka przyszywa się 2 końce skośne oszyte koronką, mające 12 cent. szerokości a 40 długości; u dołu końce są złożone w pukiel 10 cent. długi, zkrzyżowane i przewiązane węzłem ze wstążki z końcami. Do twarzy czepeczek oszyty jest w sposób na ryc. 18 wskazany koronką 5 cent. szeroką z której w dalszym ciągu, z tyłu nad końcami, ułożony jest suty garnirunek wachlarzowy. Do ubrania użyta jest wstążka 5 cent. szeroka w dwóch dobrze odróżniających się cieniach jednego koloru.

(d. n.)



N. 22. Krawatka. Robota koronkowa na tiulu. Deseń na Fig. 54—55.



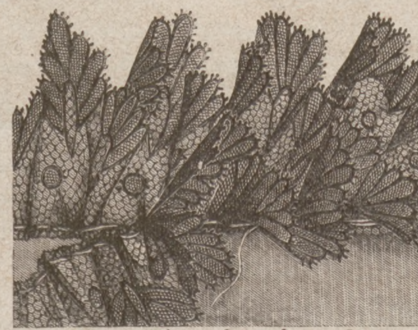
N. 24. Książka do szkiców rysunkowych z okładką malowaną na płótnie. Wzór na Fig. 56—57.



N. 25. Bransoletka z ogniw szyldkretowych.



N. 26. Mantylka chustkowa z trójkątnym kołnierzem, dla młodej panienki. Krój N. II, Fig. 8—9.



N. 28. Riusza koronkowa do mantyli ryc. 27.



N. 27. Mantyla szalowa. Zobaczyć riuszę na ryc. 28. Krój podług N. II, Fig. 8—9.